



NA BRUKU.

Klemens Junosza.

Egz. archiwalny IBL



Na bruku.

POWIEŚĆ Z ŻYCIA MIEJSKIEGO.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-62-81 w. 42

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI I SKŁADU NUT
STANISŁAWA SADOWSKIEGO,

Marszałkowska 115 (róg Złotej).

1897.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Іюня 1896 года.

DRUKARNIA I INTROLIGATORNIA P. LASKAUERA & W. BABICKIEGO.
Warszawa, Ś-to Krzyzka № 11.

1300
<http://rcin.org.pl>

Między ulicą Ś-to Krzyżką, a placem Grzybowskiem w Warszawie ciągnie się uliczka, siedmioletnia, zwana Bagno. Błotnista, ale handlowa, ciasna i nie pachnąca, lecz pełna ożywienia i ruchu.

Przejeżdżający tamtędy dorożkarze zrywają płuca, wrzeszczą «na bok», woźnica tramwajowy rozbija dzwonek, ale co to pomoże! Handel jest zbyt hardy, aby miał ustępować komunikacji, która jest tylko jego pomocnicą i służebną, więc też i dorożki i tramwaje, wobec przemagającej siły pieszej, spuszczają z tonu i jadą wolno, noga za nogą, wrzeszcząc i dzwoniąc, więcej z przyzwyczajenia, niż z przekonania, że krzyk i dzwonięcie mogą rozpędzić i skłonić do ustąpienia handlującą rzeszę. Nie sposób!

Na Bagnie jest dużo sklepów, a w sklepach bywa zwykle ciasno, właściciele więc i ich rodziny wylegają na trotuary, tam przyjmują interesantów, rodzinę, gości, a że mają interesa rozległe, rodziny liczne, i że są przytem gościnni, więc, co się na trotuarze nie pomieści, wylega na ulicę. Przytem jak

z Lubartowa, dajmy na to, trzeba jechać do Kocka koniecznie przez Firlej, tak z Grzybowa na Pańską, Święto-Krzyżką, Marszałkowską, Złotą, droga przez Bagno prowadzi.

Tłum ludzi płynie, przelewa się jak wezbrana fala, a każda tego tłumu cząsteczką, niby kropla w rzece, pcha się naprzód, prześciga z drugimi, usiłuje być pierwszą.

Miliony interesów ludzie w tamtych stronach mają. Grzybów to targowica ogromna, rynek ruchliwy, na którym trwa jarmark nieustanny; fur się tam zjeżdża tysiące. Na nim to, na tym placu, wieś wizytuje miasto i pożywienie dla niego składa, na nim dostanie wszystkiego, co tylko w życiu codziennem potrzebnem być może.

Ruch zawsze wielki w tem ogromnem drobnego handlu ognisku, więc i na przyległych, prowadzących doń ulicach, narodu ciągle jak nabił.

Jeżeli pragniemy z Grzybowa na Marszałkowską, na wielki elegancki świat się dostać, radzi nie radzi, musimy przejść przez Bagno i będziemy mieli po prawej stronie piękne sklepy ze skórami, piwem, starem żelaztwem, tanią galanterią, fajnym towarem łokciowym, koszerne restauracye, z lewej zaś... o tej lewej właśnie tomy pisaćby można.

Z pozoru kamienice to zwyczajne, jak wszystkie, a tem się chyba od innych różniące, że bramy większe mają i że w tych bramach nieustannie gromady żydów się tłoczą — ale przyjrząwszy się bliżej i uważniej, widzimy, że i bramy są insze i żydzi poniekąd insi i fizyognomia tych posesyi odmienna.

Po za bramami ciągną się ogromne podwórza, zabudowane dokoła, zarzucone rupiecami różnemi. Zdaje się, wszedłszy tam, że nie w Warszawie jesteśmy, ale w Staszowie, lub Kozienicach na rynku, z tą tylko różnicą, że rynek większy i zaopatrzony obficie.

Te składy przeróżnego towaru, starzyzny najrozmaitszej, tandety — to Pocijów. Wielkie cmentarzysko wiedeńskich karet, eleganckich mebli, resztek błyskotliwego szyku, prawdziwego, lub pożyczanego blasku, zmarnowanych fortun. Zbytek i nieszczęście, nieogłędność i niedola... wszystko na Pocijowie koniec swój znajduje, a kto by chciał w tej starzyźnie kurzem przyprószonej grzebać, kto by z jakiegoś wspaniałego niegdyś sprzętu, a dziś bezużytecznego grata, chciał, niby z jednego zęba zwierzęcia szkielet i całokształt odbudować, toby tu znalazł tyle materiału na powieści, nowelle i dramaty, żeby go przez całe życie nie zużytkował i nie przerobił.

Czego tam nie znajdzie? Biurko gdańskie, antyk, w którym dziadek dukaty przechowywał, na to, aby je wnuczek roztrwonił; wypłowały klęcznik starej matrony obok fantazyjnej, jedwabiem krytej kozetki z buduaru kurtyzanki; łóżeczko dziecinne, przy którym nieszczęśliwa matka oczy wypłakała, stół z zielonem suknem, po którym potoczyły się tysiące, zardzewiała maszyna, odebrana za komorne biednej wdowie, fajczarnia dandysa z przed pół wieku, szafa biblioteczna po uczonym, klatka po papudze, pudło od faetonu, w którym się niegdyś bezmyślny panicz po Warszawie rozbijał.

Poszukawszy, nawet i stare portretysię znajdują, by odnowione, w bogate ramy oprawne, mogły za wizerunki przodków młodej arystokracji służyć i komnaty świeżych, na spekulacjach wyrosłych pałaców ozdabiać.

Jednego dnia jesienią, po południu, zatrzymał się w bramie na Pocijów wiodącej człowiek jakiś, w kapeluszu nasuniętym na oczy, w paltocie, którego podniesiony kołnierz połowę twarzy zasłaniał. Nad głową trzymał rozpostarty parasol, gdyż deszcz mżył ciągle, drobniutki, taki co to przez dziewięć dni z rzędu padać może.

Cały Pocijów tonął niby we mgle, żydzi tłumnie się tam snujący, byli zaszargani, zabłoceni po same uszy.

Ledwie ów człowiek w bramę wszedł, już mu się u jednego rękawa uczepił żydek czarny, u drugiego rudy i każdy w swoją stronę go ciągnął.

— Co potrzeba, panie, co potrzeba? — wołał — co pan chce kupić?

— Niedrogie mebelki.

— Aj, aj, dostanie pan, za co nie? Jakie śliczności, fajne meble, amerykański orzech z adamaszkiem, z utrechtem. Abram ma takie, ja zaprowadzę, ja pokażę!

— Ja pokażę — wołał drugi — a może jeszcze co potrzeba? Jakie mebelki pan chce? kanapa, sześć krzesełek, stół?

Zanim przybysz odpowiedzieć zdołał, rudy żydziak zawołał:

— Mojsie, a bidne garnitur!

— «A bidne garnitur» — powtórzył drugi żyd,

i niby echo, rozlegające się po lesie, przeleciało po całym Pociejowie hasło: «a bidne garnitur! a bidne garnitur!» i wnet we wszystkich sklepach, sklepikach, składach i składzikach wiedziano, iż przyszedł jakiś człowiek, który ma zamiar kupić skromny garnitur.

Rudy żydek zwyciężył i pociągnął przybysza za sobą.

— Ja panu pokażę coś fajń, pierwszą elegancję — rzekł — hrabiowskie meble, na moje sumienie, osobliwość.

— Byle nie drogie.

— Za pół darmo. Ha panie, tutejsze magazyny sławne są, w całej Warszawie takiej rarytności pan nie dostanie.

Pochwycili go pod ramię i przemocą wepchnęli do składu, w którym piętrzyły się całe stosy gratów, złożonych jedne na drugie, aż pod sam sufit. Nieprzyzwyczajony do takiego obejścia się człowiek, energicznym ruchem odepchnął handlarzy.

— Precz! zawołał — a czarne jego oczy błysnęły takim gniewem, że nawet rudy żydek, bardzo do handlu namiętny, odskoczył, jak oparzony.

— Co pan bije, co to jest?! zawołał — tu nie las, tu nie można zrobić zabójstwa!

— Cicho — sztilę Berek — odezwał się stary żyd z długą, siwą brodą. Ty jesteś grubian, nie umiesz się obchodzić z delikatną osobą. Ustąp ztąd. Po co się mięszasz gałganie. Szlachetna i delikatna osoba potrzebuje też delikatności. Niechno pan dobrodziej usiądzie, bardzo proszę.

To rzekłszy, podsunął wypłowiałe krzeselko.

— Nie mam czasu, radbym sprawunek jak najprędzej załatwić, pilno mi.

— Oj, oj, właśnie u mnie nie ma bałamuctwa. Inni klektają i gadają długo, jak baby, ja w trzy słowa robię zgodę. Pan chce garnitur mebli? pan żąda coś fajn.

— Skromny i niedrogi.

— Będzie skromny jak panienka, a tańszy, niż barszcz. Patrzno pan dobrodziej, ta kanapka, oj, co to za kanapka! Czysty orzech, a sprężyny! a pokrycie, czy pan wie, jakie to pokrycie jest?

— Coś bardzo wypłowiałego.

— Pan dobrodziej żartuje, to wcale nie jest wypłowiałe, ale z przeproszeniem czysty adamaszek, jedwabna nitka, żeby tak moje wrogi jedwabne życie mieli. Do tego stół. Patrz pan co za stół!

— Trzeszczy—rzekł człowiek w paltocie, przyciskając blat stołu.

— No to co? Niech on sobie trzeszczy, aby był w sobie zdrów i aby stał na nogach. To właśnie dobrze, to znak, że w nim suchy materyał. Mokre drzewo trzeszczeć nie potrafi, a suche to się samo chwali i woła gwałtu, że suche jest.

— Już wy mnie nie uczcie, ja się na drzewie znam.

— Pan znawca? No to mogę pokazać antyków, mam takie, co u mnie po trzydzieści lat leżą, też trzeszczą, bo są suche, jak pieprz. Weźmie pan antyk.

— Nie.

— Ja panu każę. Jesionowe są, włosienicą

kryte, rarytna rzecz. Dziś włosiennicy w całej Warszawie niema. Nie chce pan włosiennicy, to mam czarną dębinę z utrechtem, z kurdybanem, z czem pan chce. Nie potrzebuje się chwalić, ale mój magazyn jest pierwszy na całą Warszawę.

Kupujący w milczeniu przyglądał się starym meblom. Obejrzał krzeselka, próbował ich mocy, wreszcie zapytał:

— Ileż za ten garnitur?

— Zgodzimy się w dwóch słowach, poco dużo gadać. Powiem odrazu ostatnią cenę: sto siedemnaście rubli. Niech ja stracę.

— Bądźcie zdrowi.

— A ile pan daje, niech usłyszę, ile dla pana wartość?

— Takie wygórowane żądanie, że ja nie mam co mówić, pójdę gdzieindziej.

Łatwo to powiedzieć. We drzwiach składu stali żydzi tak zwartą gromadą, że przecisnąć się nie było sposobu, a każdy krzyczał: Cena? jaka pańska cena? Co pan daje? Jakto pan chce kupić i nie mówi, ile chce płacić?

— Trzydzieści pięć i ani grosza więcej.

— Trzydzieści pięć! ha! ha! ha! Pan widać zagraniczny jest. Pan pewnie z Sochaczewa, a może z Łowicza. Co to? Z przeproszeniem, adamaszek za trzydzieści pięć rubli? Wielki kupiec! Może panu dodać jeszcze weneckie lustro z palisandrową konsolą i angielski dywan? Będzie cały garnitur.

— Powiedziałem, że nie dam więcej. Ustąpcie.

— Aj, aj wolna droga, niech pan idzie... Pan tu jeszcze wróci, doprawdy, szkoda chodzenia.

Odszedł i zniknął w ruchliwym tłumie.

Rudy żydek drogę mu torował, prowadził go po wąziutkich schodach, po drabinach, na poddasza, zarzucone gratami.

I znowu powtarzały się takie same sceny, tarmoszenie, szarpanie za poły, zagradzanie wyjścia. Pocijów to niby rzeka, gdy się w niej kupująca ryba pojawi, stu rybaków sieci na nią zarzuca. Z powierzchowności sądząc, człowiek ów, co skromny garnitur na Pocijów kupować przyszedł, ani do grubych, ani do tłustych ryb zaliczać się nie mógł. Palto miał podniszczone, kapelusz stary, parasol bawełniany ordynaryjny, a w twarzy wyraz takiego przygnębienia i goryczy, że odrazu można było zgadnąć, że mu nie ściele się droga różami. Są takie twarze szczere, które stanu ducha nie potrafią ukryć, na których, niby w zwierciadle, odbija się smutek, czy wesele, radość, czy troska...

Ten miał twarz bladą, wąsy opuszczone, obwisłe, brodę niegoloną może od tygodnia, a głęboka zmarszczka na czole świadczyła o jakimś ciężkim strapieniu.

Przed tygodniem przybył do Warszawy, najął mieszkanie nie duże, w oficynie na trzecim piętrze, na samym końcu Hożej.

Teraz właśnie to mieszkanie mebluje. Radzono mu, żeby na Pocijów się udał i żeby się do upadłego targował, a za tanie pieniądze do pięknych ruchomości przyjść może. Posłuchał, zanurzył się w pocijowskim odmęcie, ochrypl od targowania i w rezultacie nic nie nabył.

Wszędzie we wszystkich składach było za dro-

go. Marszczył czoło, coraz bardziej zastanawiał się, obliczał w myśli, czy może do sumki na meble przeznaczonej coś dodać. Nie; byłoby to z krzywdą innych niezbędnych wydatków.

Ciężka jest taka arytmetyka, zwłaszcza, gdy w drugiej połowie życia uczyć się jej zaczyna, gdy z winą, czy bez winy, tysiące straciwszy, musi dziesiątki i trojaki rachować. Wówczas to wianek cyferek drobnych opasuje skronie niby ostry kolący łańcuszek i wpija się w czaszkę, boleśnie dolega, pali jak ogień.

«A bidne garnitur». Ma rację rudy żydek, to w rzeczy samej, okropnie biedny garnitur.

Człowiek w podniszczonym paltocie, przeszedłszy cały Pociejów i wszystkie składy zwiedziwszy, ku bramie już zmierzał. Stary żyd zastąpił mu drogę.

— Gdzie mam odesłać pańskie meble? — zapytał.

— Przecież ich nie kupiłem.

-- No to co? Pan kupi.

— Za drogo żądacie.

— Chodź pan do sklepu, zgodzimy się. Pan trochę postąpi, ja cokolwiek opuszczę i będzie git.

Kupujący zawahał się.

— Aj, aj — nalegał żyd — co się pan ociąga? Pan widać nigdy się handlem nie trudnił, kiedy na mały sprawunek potrzebuje pan tak wielkiego namysłu. Oto — dodał wskazując na kilku zasmolonych postronkami opasanych żydów — oto są tra-garze. Oni zawsze odemnie wszystkim panom meble odnoszą. Niedrogo biorą, a noszą ostrożnie,

nic nie łamią. Im trzeba też parę rubelków zarobić. No panie, dokąd ten garnitur mają odnieść.

— Trzeba go przedewszystkiem kupić?

— Rachuj pan, że już kupiony, a może pan ma stare meble, moglibyśmy zamienić, możebym ja jeszcze co dopłacił?

— Nie mam żadnych. Nie dawno przyjechałem tu na mieszkanie i urządzam je dopiero.

— Jakto? Pan urządza mieszkanie i żąda tylko jeden garnitur? a gdzie łóżka, gdzie szafy, stół, kredens, krzesła? Pan to wszystko u mnie znajdzie w doskonałym gatunku i nie drogo, na sumienie, nie drogo!

Zaczęło się ściemniać, szare niebo nabrało nad Pociiejowem jeszcze brudniejszej barwy, drobny deszczyk padać nie przestawał, gdzieniegdzie migotały już lampy, których promienie z trudnością przebijać się mogły przez duszne, gęste, wilgoci i wyziewów pełne, powietrze.

Ktoby z bramy wchodowej spojrział w głąb pociiejowskiego targu, mógłby mniemać, że ma przed sobą jakieś ogromne, mętną wodą napełnione aquarium, w którym uwijają się rozmaite fantastyczne stworzenia. Gestykulujący przed sklepami żydzi wyglądają niby polipy morskie, wyciągające ramiona, aby zdobyć pochwycić, tragarz dźwigający wielką szafę na plecach, wydaje się zdaleka jak dziwaczny potwór o ogromnym kadłubie i dwóch króciutkich nogach; żydówka obładowana koszami, podobna jest do kraba.

Gwar dzienny ucisza się nieco, ale nie kończy, kupujących już nie wiele przybywa, natomiast

sprzedający obliczają się, likwidują krótkotrwałe spółki, na przeciąg kilku godzin, na jedną niewielką transakcyę zawarte. Kilkunastu złożyło się na kupno jakiejś starej tandety, sprzedali ją zaraz i teraz groszowym zyskiem się dzielą. I kłócą się przytem, przeklinają nawzajem, szarpią, dopóki do porozumienia nie dojdzie. Tu walka o byt, wyraźniej się, niż gdzieindziej maluje, i, prawdę rzekłszy, nie o byt się ona toczy, ale o milionowe bytu części, o wartość dzwonka śledzia, cebuli, lub funta chleba czarnego. Mają swoich szermierzy i bohaterów, owe nieustanne zapasy o grosz, toczone w błocie, stęchliźnie i zaduchu. Ta targowica pociejowska, to niby rola, na której codziennie grosze i trojaki sieją i codziennie grosz z grosza zrodzić się musi i z tego grosza znów grosz i tak ciągle bezustanku, bez końca. Mózgi się na to wysilają, nogi biegają, gardła wrzeszczą, od świtu aż do późnej nocy.

I teraz oto z głębi ogromnego podwórza, z mroków wilgotnych, wysuwa się chuda, jak szkielet szkapa, ciągnąca wóz starem naładowaną żelaztwem. Ciężkie koła turkoczą po nierównym bruku, żelazo zgrzyta na wozie, szkapa z wysilenia i pod razami bata stęka. Będzie na tem żelastwie zysk drobny, wspólnicy nim się podzielą i nazajutrz znów się po mieście rozbiegną, znów innej starzyzny nazwłóczą i tak codzien, codzien.

Stary żyd prawdę powiedział; człowieka w wyszarzanym paltocie od siebie nie wypuścił. Obniżał cenę po kilka rubli, po pół, przysięgał na wszystko, że ma mały zarobek, że nic nie zys-

kuje, że traci, że z własnego majątku dokłada, że posag żony narusza — ale gdy graty sprzedał, gdy pieniądze już zgarnął, pogładził się po brodzie, szczęśliwy, że miał dzień tak piękny, że ma jutro żyć z czego i nowe operacye handlowe prowadzić.

Sprzedał piękny garnitur mebli, szafę wpół spróchniałą, stół na nogach niepewnych, kilka krzeseł i szafkę. Za to z górą pięćdziesiąt rubli dostał. Zarobił na tem trochę i wspólnicy jego trochę i tragarze trochę; walkę dzienną o grosz zakończył stanowczem, niezaprzeczonem zwycięstwem.

Żegnając człowieka w podniszczonym paltoście i życząc mu, aby w krótkim czasie te meble sprzedał, a nowych, bardzo kosztownych się dorobił, zakończył sentencyą: że każdy człowiek potrzebuje żyć z żoną i dziećmi swemi.

Nabywca pięknych mebli odpowiedział ciężkiem westchnieniem i powoli ze spuszczoną głową za tragarzami poszedł.

W parę godzin później na pociejowskim dziedzińcu, czy rynku, jeżeli kto tak go nazwać woli, nastąpiła cisza zupełna. Składy utonęły w ciemnościach, kupcy poszli spać, a natomiast szczury i myszy rozpoczęły gonitwę i całonocną walkę o byt.

II.

Przedmieście Warszawy, Praga, niezwykle gwarne i ruchliwe w piątki, w sobotę bywa dziwnie ciche i spokojne. Ruch ustaje prawie całkiem. Na dziesięć sklepów dziewięć jest zamkniętych, ulice i place są puste, po ulicach nie turkoczą wozy i furgony.

Jedynie tylko w godzinach przyścia lub odejścia pociągów, chwilowo, przelotne ożywienie panuje. Turkoczą dorożki, brzęczą dzwonki tramwajowe, niezgrabne omnibusy hotelowe spieszą po gości.

Nad Warszawą pochmurne niebo jesienne, wiatr buja swobodnie po ulicach i placach, podnosząc kurz i śmiecie, przechodnie kulą się z zimna i przyspieszają kroku.

Przed dworzec drogi terespolskiej zjeżdżać się zaczęły dorożki i omnibusy i ustawiały się w równym szeregu. Konduktorzy hotelowi czekali na pasażerów w przedsionku; w bufetach przy drzwiach na peron wiodących zebrała się garstka publiczności i czeka, rychłoli da się słyszeć świst maszyny i dzwonek.

Tragarze w niebieskich bluzach snuli się po platformie, popychając przed sobą wózki na przyjęcie bagażu gotowe.

Wskazówka dużego zegaru posuwała się powoli.

W gromadce ludzi cisnącej się do drzwi stacyjnych, znajdował się ten sam człowiek w podniszczonym paltocie, co meble na Pociejowie kupował, ale teraz trochę lepiej wyglądał. W oczach jego malowało się pewne ożywienie, może radość, że tych, na których oczekuje, niezadługo powita.

Bo istotnie już tylko pięć, już tylko trzy minuty.

Szwajcar z wielką powagą położył rękę na klamce, aby jednocześnie z uderzeniem dzwonka drzwi otworzyć i publiczność oczekującą na platformę wpuścić.

Wreszcie upragniony dzwonek odzywa się donośnie, publiczność z pospiechem gorączkowym wybiega na spotkanie pociągu, który hamulcami zgrzytając, wtacza się na stację.

Powitania radosne, okrzyki, uściski.

Człowiek w podniszczonym paltocie biegnie wzdłuż pociągu, zagląda do wagonów, oryentować się nie może w tłumie. Popychają go, trącają łokciami, ale on nie zważa na to i pilnie przegląda wszystkie wagony trzeciej klasy.

Wreszcie stanął, straciwszy nadzieję ujżenia oczekiwanych, popatrzył trochę i do odwrotu się zabierał; tłum go popychał po wyjściu.

— Mieli przyjechać—mówił sam do siebie—

mieli przyjechać dziś wszyscy, czyżbym źle list przeczytał? Nie, widocznie stało się coś, wypadek czy nieszczęście...

Gdy się tak zastanawiał, usłyszał za sobą szybkie kroki i nagle uczuł, że go ktoś z jednej i z drugiej strony za ręce chwyta. Obejrzał się.

— To my, to my ojczulku! zabrzmiał głos młodej, wysmukłej dziewczyny — to my, ja z Edziem.

— Jak się macie, niechże was uściskam, a gdzież matka, a gdzie tamci?

— Myśmy tylko przyjechali we dwoje, proszę ojca; ja, żeby nowe nasze gospodarstwo urządzić, Edzio, w nadziei, że się do szkół dostanie, mama przyjechać nie może.

— Czy chora? mówcie no prawdę. Wicie, że najbardziej nie lubię niepewności.

— Nie ojczulku, mama nie jest chora.

— Czy nie kłamiesz, Maniu naumyślnie, żeby mi przykrości oszczędzić?

— Najszczerzą prawdę mówię.

— Więc dla czegoż nie przyjechała?

— A, proszę ojca — odezwał się chłopiec — jakże? Nasze sprzęty, krowy, konika, bryczkę, chcieli kupić za bezcen, za darmo. Mama płakała i myśmy także płakali, ale wreszcie mama powiada: nie, nie pojedę, przeczekam, może znajdę nabywców. Nie sposób tak marnować. Niech Mania z Edziem dąży do Warszawy, a ja sprzedażę się zajmę. To są słowa mamy i oto jesteśmy.

— Dobrze, moje dzieci, jedźmy do domu. Macie z sobą jakie pakunki?

— Bardzo mało, to tylko co najniezbędniejsze. Resztę mama przywiezie.

Po chwili jednokonna dorożka toczyła się od dworca. Ojciec z córką siedzieli w ciasnym pudle, chłopiec obok dorożkarza na koźle. Niewielki bagaż, z kilku tłumoczków złożony, dał się łatwo umieścić.

— Rozmowa niezbyt była ożywiona, bo turkot dorożki ją zgłuszył. Chłopiec z ciekawością rozglądał się dokoła, panienska posmutniała.

— Cóż, Maniusiu, jakże ci się miasto podoba? zapytał ojciec — ładne?

— Straszne — odrzekła — może mi się tylko tak wydaje... ale...

— Ale co?

— Boję się, ojczulku.

— Dla czego? co cię przerażyło?

— Nie wiem, sprawy sobie zdać z tego nie umiem, drzę, lękam się; w lesie nie jest tak straszno, jak tutaj.

— Dziecko jesteś...

Zapewne; Mania szesnaście lat dopiero skończyła, wychowana w zacisznym wiejskim zakątku, o mieście, zwłaszcza o dużem, z książek tylko i z rycin miała pojęcie. Gdyby przyjechała na czas krótki, dla przyjemności tylko i zobaczenia miasta, możeby na nie z mniejszą spoglądała obawą, ale na zawsze, może na całe życie tu przybywa, a swój dotychczasowy tak miły i spokojny światek opuszcza, więc obawa ją zdjęła. Żal za tem co traci, a niepewność, co wśród obcych, nieznanych ludzi znajdzie.

A tych ludzi tak dużo! Biegną, popychają się spieszą, jeden drugiego wyprzedza, a im dalej w miasto, tem ich więcej. Tyle ludzi, tyle domów, tyle ulic, las istny; tylko nie las spokojny, cichy, szmerzący łagodnie, lecz przeciwnie pełen gorączkowego, szalonego ruchu i życia.

Po co ci ludzie tak spieszą? Za czem gonią? Dokąd biegną, jeden na drugiego nie zważając.

Ten ruch dziwną jakąś trwogą napełniał dziewczynę, osamotniona się czuła w tłumie i gdyby nie obecność ojca, rozplakałaby się z pewnością.

Na chłopca widok Warszawy zupełnie inne zrobił wrażenie, rozglądał się z ciekawością i dorożkarza pytaniami zasypywał.

— Kawaler śnać pierwszy raz tutaj? — zapytał dryndziarz.

— Pierwszy.

— Zaraz znać. Tak się kawaler mostowi przygląda, jak gdyby nigdy mostu nie widział?

— Takiego nie widziałem, śliczny most!

— Jak most; lepsza ulica, bo przez te psie tramwaje noga za nogą trzeba jechać.

— Co to za tramwaje?

— A te wagony, co po szynach idą. Kto je wymyślił, bodaj z piekła nie wyjrzał.

— Dla czego przeklinacie?

— Ma się rozumieć. Było dorożkarzom niegdyś dobrze; mieli chleb dla siebie i owies dla koni, jeździli po kawalersku, zarabiali i sporo zarabiali; aż ci przyszli jakieś szwabys, wymyślili tramwaje; biorą pasażerów jak śledzie w beczkę.

po dychaczu od sztuki, a ty fachu dorożkarskiego bracie, stój jak przymurowany, śpij na koźle, czekaj aż coś kapnie. Żeby ich kolka! Było dawniej dobrze, a teraz licha zjedz i serdelkiem zakąś. Tak, panie kawalerze, teraz Warszawa na szczęt zmarniała.

— Takie miasto..

— Eh, to się tylko wydaje, a po prawdzie powiedziawszy, cóż to za miasto? W Łowiczu na jarmarku lepszy ruch bywa niż tutaj. Dawniej choć panowie w Warszawie byli.

— A gdzie się podzieli?

— Albo ja wiem: może powymierali, może zbiednieli, dość że niema. Byli tacy co po rublu za kurs dawali, a teraz to ci każdy lepiej takse umie, niż pacierz. Widać, że ich w maleńkości w szkołach taksy uczą. Nie ma teraz panów, kawalerze, oj niema.

Edzio się obraził.

— Że ja pierwszy raz w Warszawie jestem, to sobie ze mnie żartujecie.

— Ja?

— A zapewne. Powiadacie, że panów niema, a tu ich tysiące snuje się po ulicach; przecież własnym oczom chyba mogą wierzyć.

Dorożkarz śmiechem wybuchnął.

— Panicz mówi o tych elegantach, co ich pełno wszędzie. Ha! ha! o to mi dopiero panowie, para po pięć, tacy panowie. Inszy i na tramwaj niema, nie tylko na dorożkę, a gdyby mógł toby duszę w lombardzie zastawił. Panowie, oj panowie oni! Rurę na głowie taki nosi, myślałbyś, że hra-

bia, taki wystrojony, a to akurat pisarczyk z kan-
toru, co bierze trzydzieści dni na miesiąc i dwa-
naście tygodni na kwartał.

Edzio się uśmiechnął.

— Sprawiedliwie tak paniczu, z wierzchu to
się to niby świeci, a naprawdę bryndza. Niby
wielkie miasto, a to wielka bieda. Są bogacze, ma
się rozumieć, że są, ale taki zarobić człowiekowi
nie da, trzyma własne konie i powóz. Panicz się
dziwi; jak panicz tu pobędzie parę lat, to się
przekona, że ja prawdę mówię. Dziwu niema, bo
do Warszawy biedota z całego świata się zwłó-
czy. Komu źle, kto wszystko straci, kto nie ma
co jeść, ten do Warszawy, jak w dym, myśląc,
że tu manna z nieba spada, a piekarze darmo
chleb dają.

Chłopiec zarumienił się i posmutniał. Wszak-
że i jego ojciec w takim samym jest położeniu
i dąży na bruk warszawski w mniemaniu, że pracę
i zarobek znajdzie.

— Oj paniczu — mówił dalej dorożkarz —
bryndza tu, wielka bryndza. Ja też warszawiak
nie jestem, ze wsi pochodzę, z pod Czyżewa.
Fornalem byłem we dworze. Zachciało mi się
lepszego losu, przywlokłem się do Warszawy i...

— Przecie macie dorożkę.

— Albo to moja? Na cudzej jeżdżę, służę. Mam
pięć rubli na miesiąc, akurat tyle, ile płacę ko-
mornego za izbę w suterenie, a mam do żywienia
babę i czworo dzieci.

— Z czegoż więc żyjecie?

— Bóg wie, paniczu, z wiatru co wieje. Ko-

bieta chodzi na posługi, do prania, mycia podłóg, ja codziennie trochę ukradnę i łąta się.

— Kradniecie i nie wstydzicie się?

— Trochę się wstydzę, ale co mam robić? złotówczyne, a czasem dwie lub trzy dziennie musi człowiek ściągnąć, bo inaczej...

Tak rozmawiając, zajechali na Hożą.

Edzio z kozła zeskoczył, tłumoczek jeden wziął i niebawem ojciec, córka i syn znaleźli się w nowym mieszkaniu.

Wchodziło się po wązkich wschodach, wysoko, na trzecie piętro. Z przedpokoju, tak ciasnego, że się w nim ledwie obrócić było można, jedne drzwi prowadziły do kuchenki, drugie do pokojów, a właściwie pokoików maleńkich. Było ich trzy, jeden za drugim, największy miał dwa okna, inne po jednym.

— No, cóż dzieci — zapytał ojciec — jakże wam się tu podoba?

Mania nic nie odpowiedziała zaraz, rzuciła okiem po kątach, po ścianach, pomyślała przez chwilę i rzekła:

— Ciasno, ale musimy się pomieścić.

— Trudno będzie, lecz wiele ten czyni, kto musi.

— O! niech się ojczulek nie martwi, damy sobie rady. Ja tu zaraz od jutra porządki porobię, jak mama przyjedzie, to już ład zastanie. Ojczulek zapewne posadę już ma?

— A mam, nawet nie jedną... przyrzeczoną... odpowiedział niechętnie, z odcieniem niewymownego smutku w głosie.

Do tyłu już drzwi kołatał i nie otworzono mu; zniósł tyle przykrości i upokorzeń, tyle nawyczekiwał w przedpokojach i przedsionkach, tyle napłacał resztkami pieniędzy rozmaitych pośredników i faktorów, którzy obiecywali mu złote góry, a później ulatniali się, jak kamfora.

Nie spodziewał się przed kilkunastu, przed kilku nawet laty, że się w podobnem położeniu kiedy znajdzie, to też mu się ono podwójnie ciężkiem, nieznośnem wydawało.

Człowiek ten nie zawsze w wyszarzanym chodził paltocie, nie zawsze miał takie smutne wejście i głowę ku ziemi schyloną. Trzymał się niegdyś prosto, patrzył w przyszłość śmiało, z ufnością, zbyt hardo może.

Ufał własnym siłom, pracy swej, energii. Zdawało mu się, że stoi na pewnym gruncie, ale zapominał o tej prawdzie, że nie ma gruntu, który zupełnie jest pewny, Zdarzy się wypadek, nie szczęście, zajdą okoliczności nieprzewidziane i to, co było niby niewzruszonym, chwieje się, usuwa z pod nóg i ciągnie człowieka w przepaść.

Miał w dzierżawie majątek, a więc sposób do życia, dach nad głową, a teraz posady oto szuka i wcale nie ma zamiaru przebierać. Weźmie co mu dadzą, będzie robił, co każą, nie ulęknie się pracy, byle ją tylko znalazł, a tu tak trudno, prawie nie sposób...

Temu lat niewiele, kilkanaście zaledwie, kiedy pełen wiary w przyszłość o założeniu rodziny myślał, widział świat w barwach różowych, czyż mógł przypuszczać, że te barwy tak prędko zczernieją?

Taka zmiana odbywa się bardzo szybko, niepostrzeżenie prawie, jasne kolory blakną, płowieją, szarzeją, pokrywa je coś, niby mgła, niby pył drobnutki, znikają z nich światła, ustępując miejsca ceniom, a w końcu zlewa się to wszystko w jedną wielką czarną plamę — i z tęczyowych blasków pozostają tylko wspomnienia. I tym jednak oddawać się niema kiedy, bo terażniejszość wielkim głosem o swoje się dopomina, zaspokojenia pilnych potrzeb domaga się tak, że na rozpamiętywanie przeszłości, ani na snucie pięknych planów na przyszłość, minuty wolnej brakuje.

Mania usłyszawszy niechętną odpowiedź ojca, powtórnie zapytywać nie śmie, ojciec ze zwierzeniami nie spieszy, bo nic miłego do powiedzenia niema, a mały Edzio, całodzienną podróżą znużony, usiadł przy małym stoliku w kącie, oparł głowę na dłoniach i w pół czuwa, w pół marzy... Wszystko co widział w czasie podróży, przesuwają się w jego wyobraźni: droga długa, miasto wielkie i bułki dziwnie małe. Ten ostatni szczególnie niezwykle go zajmował. Zajmowało go także mieszkanko ciasne, brak podwórza, ogrodu, dręczyło go pytanie, gdzie biegać, gdzie się bawić?

— Proszę ojczulka — zapytał nieśmiało — przebudzony wielkością kwestyi, która na myśl mu przyszła.

— Co chcesz Edziu?

— Czy tu w Warszawie grywają w palanta?

— Zapewne grywają.

— A gdzie? przecież chyba nie na tych podwóreczkach?

— Są place za miastem, są ogrody publiczne, nawet bardzo ładne ogrody.

— A to dobrze, to bardzo dobrze, zaraz od jutra zacznę tych ogrodów szukać.

— Nie wiem jeszcze jak się jutro urządzimy, ale zdaje mi się, że najpierw wypadnie szkoły poszukać.

— To prawda — odrzekł z westchnieniem.

— Martwi cię to?

— O nie — owszem, pragnę zacząć się uczyć jak najprędzej. Mama mówi, że gdy ukończę edukację, to będę mógł rodzicom dopomagać i Mania to samo powiada. Owszem, niech mnie ojciec jutro do szkoły odda. Do ogrodu wybiorę się w święto.

Ojciec nie odpowiedział. Jutro chłopca do szkoły nie zaprowadzi, gdyż ma co innego na głowie; do biura kolejowego ma pójść, do naczelnika z listem polecającym. Już się cd trzech dni o audyencyę dobija, ale jakoś zawsze niefortunnie trafia. To pan naczelnik wyjechał na miasto, to poszedł z papierami do dyrekcyi, to zajęty, to ma kogoś u siebie.

Trudno, kto jest na wysokiem stanowisku, temu każda minuta droga.

W szeregu innych suplikantów, ojciec Edzia wyczekiwał po kilka godzin dziennie i wyczekiwał napróżno, nie tracąc wszakże nadziei, że kiedyś drzwi gabinetu dygnitarza otworzą się przecie.

Jakoż istotnie, na drugi dzień po przybyciu Mani i Edzia do Warszawy, otworzyły się one. Pan naczelnik siedział przy ogromnem biurku,

zawalonem papierami, palił cygaro i czytał gazetę. Gdy mu zaanonsowano przybyłego, odwrócił głowę i spojrział.

— Co to? od kogo? zapytał naczelnik.

— Od hrabiego Adolfa X.

— Od Adolfa! No proszę, przypomniał sobie o mnie, a dawno, dawno nie widzieliśmy się; przypomniał. No proszę, no proszę...

Włożył na nos binokle i odczytał list.

— Pan się nazywasz Kwiatkowski?

— Tak jest, Julian Kwiatkowski, do usług pana naczelnika.

— Dzierżawiłeś folwark od hrabiego? Pisze, że wyszedłeś z tej dzierżawy uczciwie, ale bez grosza.

— Kłęski, nieurodzaj, panie naczelniku.

— Znam ja to mój panie, po dziesięć razy na dzień o tych losowych kłęskach słyszę. Zwyczajła piosenka. Safanduly jesteście, niedołęgi, rządzić się nie umiecie, a zbankrutowawszy, jak w dym do kolei. Z pod ziemi wykop posadę, panie naczelniku, a daj.

— Jeżeli pan naczelnik nie może...

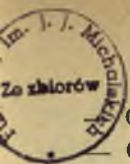
— Nie może, czy może, to inna kwestya. Czy pan jesteś żonaty?

— Żonaty.

— Potrzebne wam te małżeństwa! Co spojrzeć, to żonaty, kamieniem rzuć na chybił trafił, w żonatego trafisz. Małżeństwo to za kosztowna zabawka dla biedaków, zawsze to powtarzam. Dzieci zapewne są?

— Są panie!

— Ile?



Czworo.

— Czworo dzieci, czworo dzieci! I pan na kolei chleba szukasz. Czy wyobrażasz sobie, że dyrektorem zostaniesz?

— Nic sobie nie wyobrażam, pracować pragnę, choćby na najskromniejszym stanowisku. Zresztą głównie mi idzie o to, abym się zahaczył, a dalej moją rzeczą będzie zasłużyć sobie na...

-- Na awans. Bardzo pięknie, u nas o awanse łatwo!

Pan naczelnik był w dobrym humorze, niedawno zjadł śniadanie, delektował się wybornym cygarem i miał ochotę do gawędki, choćby z suplikantem.

— Tak, tak — mówił — rzetelna praca zawsze znajdzie nagrodę; ale à propos, jakże się miewa hrabia? Jak mu się powodzi?

— Pan hrabia ma się dobrze, a co się tyczy powodzenia, o tem nie ma co mówić. Zamożny to człowiek, posiada kapitały znaczne.

— Za żoną duży posag wziął?

— Nie wiem, proszę pana naczelnika.

— Ale ja wiem; byłem na ich ślubie, bo trzeba wiedzieć, że łączy nas dawna znajomość od szkolnej ławy jeszcze.

— Właśnie pan hrabia wspominał.

— Tak, tak dawne dzieje, ale czemu pan stoisz? proszę siadać panie... jakżeż tam?

— Kwiatkowski, do usług.

— Panie Kwiatkowski, tak, siadajże pan. Polowania u hrabiego częste?

— Dużych dwa w zimie, a oprócz tego jesie-

nią na kuropatwy, lub na dubelty latem, jak się zdarzy. Pan hrabia myśliwy zawołany, polować lubi.

— Zwierzyny zapewne nie brak?

— O jest dosyć, na zimowych polowaniach po sto zajęcy biją, sarny są też i dziki...

— Takie polowanie to rozumiem.

— Pan naczelnik myśliwy? — zapytał pokornie Kwiatkowski.

— Spodziewam się! Jedyna to moja przyjemność, powiedziałbym nawet, namiętność. Mam swoje trofea: rogi jelenia, lub dzika, skóry sarnie. Dzik był pyszny, czterysta funtów ważył. Dostał kulą w oko i trup na miejscu. Więc pan masz czworo dzieci, panie Kwiatkowski?

— Czworo, proszę pana naczelnika.

— A funduszków nie wiele?

— Prawie nic.

— Hrabia Adolf gorąco pana poleca.

— Cała moja nadzieja w tem, jeżeli pan naczelnik prośbę hrabiego raczy uwzględnić.

Naczelnik przygryzł wąsy, zamyślił się i po chwili rzekł:

— Hm, radbym, ale w tej chwili wakansu niema, a kandydatów tysiące; trzeba czekać, może się coś trafi. Czy masz pan z sobą podanie, dowody?

— Oto są.

— Bardzo dobrze. Zostaw pan papiery te u mnie, ja je rozpatrzę i mieć pana będę na pamięci.

— Uprzejmie dziękuję, bardzo wdzięczny jestem; kiedy pan naczelnik zgłosić się każe?

— Mówię panu, że nie zaraz. Przyjdź pan za miesiąc, dwa, trzy wreszcie, kandydatem już pan od dzisiejszego dnia jesteś. Tymczasem może się panu trafi jakie prywatne zajęcie.

Rzekłszy to, pan naczelnik podniósł się z krzesła, co było wskazówką, że audyencya skończona.

Suplikant skłonił się nisko i dziękując za obietnicę, wyszedł.

Woźny, widząc, że pan naczelnik rozmawiał z niepozornym człowiekiem tak długo, stał się nadzwyczaj uprzejmym, podał eks-dzierżawcy palto, otworzył przed nim drzwi na oścież i rzekł jak umiał najgrzeczniej:

— Padam do nóżek pana dobrodzieja.

Naczelnik podanie i dowody pod wielki stos papierów podłożył, czytanie gazety dokończył, a potem znów interesantów przyjmował, do dyrektora poszedł, z kolegami gawędził i zanim odjechał z biura na obiad, zdążył zapomnieć, że istnieje na świecie jakiś Kwiatkowski, który ma żonę, czworo dzieci, protekcyę hrabiego Adolfa i niepewność, czy będzie miał za miesiąc za co kupić kawałek chleba, a słuszniej mówiąc pewność, że tego chleba kupić nie będzie miał za co.

Kwiatkowski przeciwnie, doskonale naczelnika pamiętał, wciąż miał przed oczyma postać jego pięknie zaokrągloną, jego uśmiech protekcyjony, wyraz twarzy, kolor oczu, podbródek podwójny, łysinę; pamiętał wybornie każdy wyraz, jaki od niego usłyszał i mógłby całą rozmowę dosłownie, bez zająknięcia powtórzyć.

Różne bo są gatunki pamięci.

Kiedy ojciec upajał się obietnicami dygnitarza, córka doprowadzała do porządku skromne mieszkanie. Edzio zaś wyszedł na miasto, żeby je poznać cokolwiek.

Szedł powoli, rozglądał się, podziwiał większe domy, oglądał wystawy sklepowe, przypatrywał się tym panom i paniom eleganckim, co z pozoru wyglądali jak bogacze, a według zdania dożkarza, nie mają czem za kurs zapłacić.

Była blisko godzina trzecia po południu, na ulicę wysypał się rój młodzieży ze szkół wracającej. Chłopcy mniejsi i więksi, to w gimnazjalnych uniformach, to w cywilnych z tornistrami na plecach, śpieszyli, gwarząc wesoło.

Edzio im zazdrościł; oni są już w szkołach, niektórzy bliźcy ukończenia, wkrótce na ludzi wyjdą, rodzicom będą pomocą — a on co? Samotny w tym tłumie, nikogo nie zna, z nikim rozmawiać nie może. Żeby choć jednego znajomego miał, toby się przynajmniej dowiedział czegoś o szkole, dopytał. Ojciec czasu niema, do naczelnika chodzi od dni kilku, siostra pilnuje domu. Zresztą gdzie i do kogo pójdzie? ani krewnych, ani znajomych w Warszawie niema. Lepiej było stokroć na prowincyi.

W młodej głowie myśli zmieniają się szybko; dopiero chłopca zajmowała szkoła i przyszłość, to znów jakiś figielek mechaniczny w wystawie sklepowej jego uwagę pochłonał. Na prowincyi takich zabawek nie znają. Niemiec w szlafroku, w szlafmocy, klapkę na muchy trzyma w ręku, mucha po stole chodzi: niemiec zamierza się klap-

ką, podnosi ją powoli, wyżej, jeszcze wyżej, wreszcie uderza i mucha ucieka, a niemiec chowa brodę w kołnierz i robi niezmiernie głupią minę.

Przed oknem stoi gromadka malców i za każdym uderzeniem klapki bije Niemcowi brawo.

Jakiś czupurny blondynek, z tornistrem na plecach tak się rozochocił, że zamiast bić brawo jak zwykle na własnej dłoni, zaczął z całej siły bębnić pięścią po plecach Edzia.

Jest to także pewien sposób zawiązywania znajomości, a nawet przyjaźni.

Edzio nie pozostał dłużnym w odpowiedzi i oddał szturchańca przeciwnikowi z dużym nadatkiem, potem obydwaj odskoczyli na kilka kroków i patrzyli na siebie zacietrzewieni, jak koguty.

Edzio ścisnął drobne pięści i gotów był na nowo rzucić się do walki, ale tamten drugi wybuchnął nagle śmiechem:

— Ja cię wcale uderzyć nie chciałem — rzekł.

— Nie chciałeś? czegoż więc biłeś?

— Zdawało mi się, że kawaler jest mój kolega Wacek, a tymczasem nie. Takie skopsanie przez pomyłkę nie liczy się, tembardziej, że oddane.

— O! ja zawsze oddaję.

— Ho, ho, a cóż kawaler jesteś za jeden, do jakiej szkoły chodzisz?

— Jeszcze nie chodzę, ale będę chodził.

— Na wstępniaka?

— Nie wiem, jak zdam, może do pierwszej zdam.

— Ja właśnie w pierwszej jestem. W piłkę umiesz grać?

— Umiem.

— Ojca masz?

— Mam.

— Poproś niech cię wtryni do nas. Gdzie mieszkasz?

— Na Hożej.

— A i ja na Hożej, my tam mieszkamy już dawno.

— A my od dni kilku; ja pierwszy raz dopiero jestem w Warszawie,

— To ty nic nie znasz.

— Ma się rozumieć, że nic. Przyjechałem niedawno.

— Któż jest twój ojciec!

— Ma być na kolei.

— Ma być? Mój ojciec jest na kolei, ma znaczny urząd w ekspedycyi.

— Ho! ho, w ekspedycyi.

— Jest naczelnikiem wagi, a mama utrzymuje magazyn.

— Cóż to jest magazyn?

— Nie znasz? magazyn, to jest... to jest widzisz magazyn!... taki duży pokój z szafami, w szafach są kapelusze dla pań, a obok tego pokoju jest drugi pokój, a w nim siedzą trzy panny i robią suknie. — Do jakiej szkoły chcesz chodzić?

— Nie wiem, żadnej nie znam.

— Jeżeli cię ojciec nie odda do gimnazjum, wtryń się do nas, będziemy razem. Słuchaj, ja teraz nie mam czasu, idę na obiad, później wyjdę na godzinę, zaczekaj na mnie na rogu alei, pogadamy. Jak ci na imię?

— Edzio — a tobie?

— Wicek.

— To bardzo ładne imię, podoba mi się.

Dwaj malcy w najlepszej harmonii i zgodzie poszli razem, rozmawiając tak poufale i szczerze, jakby się znali już od bardzo dawna. Przeskakiwali z przedmiotu na przedmiot z nadzwyczajną łatwością. Edzio mówił o wsi i jej przyjemnościach, Wicek w niezupełnie zrozumiałych dla prowincjonalisty wyrażeniach, malował życie szkolne i rozkosze miasta. Dowiedział się Edzio, że w piłkę grywać można na placu Ujazdowskim, że zimową porą są pyszne ślizgawki u cyklistów i na Foksalu, że najlepsze piłki są lanki a najdoskonalsze łyżwy halifaksy, że proca robi się z drewnianki i rurek gumowych, że do arytmetyki używa się kajetów w kratki, że w szkole do kozy wsadzają czasem na kilka godzin, że bułki mularki są znacznie większe, aniżeli kajzerki, że hałwa jest bardzo dobry przysmak.

Gdy doszli do domu, w którym mieszkał Wicek, podali sobie ręce jak dwaj przyjaciele i postanowili najdalej za dwie godziny zejść się na rogu alei. Jeżeliby się który cokolwiek spóźnił, to drugi na niego zaczeka.

Rozeszli się, zadowoleni niezmiernie ze spotkania i znajomości, zawiązanej tak łatwo.

Edzio z wielką radością powiedział siostrze, że już mu nie będzie teraz smutno i samotnie w Warszawie, ponieważ znalazł przyjaciela, a zapewne w niedalekiej przyszłości kolegę, który go wszędzie zaprowadzi i z innymi chłopcami zapozna.

III.

Kwiatkowski rozpamiętywał słowa naczelnika: «tymczasem zanim się wakans otworzy, znajdź pan sobie jakie prywatne zajęcie.»

Niepodobna zaprzeczyć, że taka rada jest bardzo mądra i praktyczna. Zastosować się do niej nietrudno, trzeba pilnie studyować anonse, szukać, starać się przez znajomych, lub też udać się do specjalisty, który się wyłącznie poszukiwaniem obowiązków prywatnych zajmuje.

Takich specjalistów w Warszawie nie brak i szukać ich nie trzeba; tropią oni interesantów sami po ulicach, restauracjach i cukierniach.

Ojciec Edzia codzien zaglądał do pewnej cukierni i ogłoszenia kuryerkowe pilnie odczytywał. Czasem przy czytaniu rozjaśniła mu się twarz, wydobywał z kieszeni ołówek, książeczkę notatkową, kreślił parę słów i wybiegał na miasto tak szybko, jukby mu nagle ze dwadzieścia lat życia ubyło -- lecz nazajutrz przychodził znowu do cukierni przygnębiony i smutny i znowu ogłoszenia przeglądał.

O tejże samej godzinie siadywał w cukierni siwy jakiś jegomość, dość otyły, z faworytkami ostrzyżonemi krótko, w okularach, przyzwoicie i dostatnio ubrany.

Miał minę człowieka zadowolonego z siebie, żyjącego spokojnie i bez troski. Poważny był w ruchach i w mowie, w całym zachowaniu się, tylko małe, szare oczki, niezmiernie ruchliwe, nie licowały z tą powagą.

Na pozór zdawać się mogło, że jegomość ów liczy co najmniej sześćdziesiąt lat wieku, że jest zadowolony z życia kapitalista, lub też używający zasłużonego spokoju emeryt i przychodzi do cukierni specjalnie tylko na gazety; ażeby z nich o nowinkach politycznych się dowiedzieć, lub godzinę przy szachach przepędzić — atoli przy bliższej obserwacji pokazywało się, że pan ten nowin politycznych nie jest ciekawy, że w pismach ogłoszenia tylko studyuje, a chociaż czasem zasiądzie do szachów, to bardziej na wchodzących do cukierni ludzi — aniżeli na szachownicę zerka.

Od kilku dni jegomość w okularach pilnie Kwiatkowskiego obserwował, siadał blisko niego i starał się rozmowę zawiązać, ale kandydat do posady prywatnej z natury skłonny do rozmowy nie był... Jednakowoż dało się pierwsze lody przełamać. Jegomość w okularach pewnego dnia zbliżył się i o Kuryera poprosił.

— Po przeczytaniu, rzekł, zamawiam.

-- Owszem, w tej chwili — odrzekł Kwiatkowski i oddał osadzony na kiju dziennik, w którym żadnego w tym dniu ogłoszenia nie znalazł.

— Przepraszam — rzekł jegomość w okularach — od tygodnia obserwuję, że szanowny pan codzień ogłoszenia czyta, czy, jeżeli wolno spytać, poszukuje pan kupna majątku, lub dzierżawy?

— Nie.

— Teraz dużo dóbr jest do sprzedania, dzierżaw też nie brak, niektóre nawet bardzo korzystne.

— Na majątek pieniędzy nie mam, z dzierżawy zaś wyszedłem dopiero.

— A... i przybył pan do Warszawy.

— Tak.

— Nie weźmie mi pan za złe, że się zapytam w jakim celu? Interesu w tem nie mam, ale jako człowiek bezobowiazkowy, a mający jakie takie stosunki i znajomości, mógłbym być użytecznym może. Choć stary jestem, ale oko mam bystre i widzę, że pan kłopot jakiś ma... Trzeba być szczerym, bo jak słusznie powiadają: przez świętych do Boga, przez ludzi do ludzi.

— Zapewne...

— Ja, bo widzi pan znajomości mam dużo, z wieloma ludźmi utrzymuję stosunki, to też niejedno usłyszę i prawdę powiedziawszy, nieraz więcej wiem o interesach, niż wszystkie ogłoszenia razem wzięte... Co pan chcesz, na stare lata człowiek ma czas, to i gawędzi chętnie. Pan dobrodziej zapewne tu niedawno; nie miałem przyjemności go widywać, chociaż bywam tu od wielu lat niemal codzień, tu jest moje stałe locum, ma się rozumieć w popołudniowych godzinach.

— Istotnie, niedawno przybyłem do Warszawy.

— Z zamiarem osiedlenia się na stałe?

— Tak, mam obiecaną posadę na drodze żelaznej, a tymczasem staram się o zajęcie prywatne. Przekonywam się jednak, że bardzo trudno znaleźć, wszędzie pełno ludzi i co zapytać, to już wzięte.

— Co pan powiada! gdzież, jeżeli nie w Warszawie chleba szukać, prawda, że i kandydatów moc, ale trzeba umieć się starać.

— Widocznie, panie, ja nie umiem.

— Nic dziwnego, panie szanowny, trzeba przede wszystkim znajomości, stosunków. Najłatwiej jest o posadę, mając fundusz na kaucyę, można w takim razie dostać doskonały obowiązek.

— Ja nie mam...

— Hm, tem gorzej, ale jednak można. Są ludzie, którzy dają posady za pieniądze. Tacy potrzebują, mają duże wydatki, więc za niewielkie wynagrodzenie, jeżeli są pewni dyskrecyi i wiedzą, że mają z porządnym człowiekiem do czynienia, to dla czego nie? Korzystają ze stosunków.

— Mówi pan, że wpływowi.

— Ha, ha, wpływowi! jeszcze bardziej, niż wpływowi. Życie ma swoje wymagania, trzeba lokalu z komfortem, służby, strojów, trzeba u siebie przyjąć i na balach bywać, powozem się przejechać, a to zabawki grube, dochody, nawet duże na to nie pozwalają, więc jakieś honorarium bywa mile widziane.

— Dziwne rzeczy mi pan opowiada.

— Chowaj Boże, panie dobrodzieju — najnaturalniejsze! Tą drogą najłatwiej celu dopiąć.

— Ale to musi drogo kosztować, a wie pan, że kto chleba szuka, pieniędzy na zbyciu niema.

Siwy jegomość zerknął z pod oka i uśmiechnął się.

— Myli się pan — odrzekł — kto chleba szuka, skłonniejszy jest do zapłaty, aniżeli taki, któremu głód nie grozi. Zresztą, osądź pan sam, czy warto dać sto lub dwieście rubli za posadę, która rocznie pięćset, albo sześćset przyniesie?

— Jeżeli posada pewna.

— A, panie, to już zależy od pracowitości i sumienności. A posady są. Sam wiem o rzadcostwie ogromnego domu, dają dwieście rubli rocznie i mieszkanie; wiem też, że pewna fabryka stara się o uczciwego i pewnego magazyniera; niedawno pewien przedsiębiorca budowlany mówił mi, że od kilku tygodni poszukuje godnego zaufania człowieka i znaleźć go nie może; kubek w kubek to samo słyszałem od właściciela ogromnego składu węgla... Pracodawcy wogóle uskarżają się na brak ludzi, chociaż jest dużo starających się o zarobek. Istotnie dużo, ale jakich? Jeżeli nie pijak to próżniak; jeżeli nie próżniak to złodziej; jeżeli nie złodziej to ciemięga do niczego nie zdolny, a jeżeli nie ciemięga to znów pijak i tak dalej bez końca. Pracodawcy, panie dobrodzieju, mają z doborem ludzi niemały kłopot.

Kwiatkowski patrzył na owego jegomościa z podziwem. Taki człowiek! tyle znajomości, stosunków, taka obfitość i pewność informacji.

— Panie szanowny — rzekł nieśmiało — aczkolwiek zupełnie nieznan...

— Nie zważaj pan na to, przecież łatwo się zapoznać — ale co pan chciałeś powiedzieć?

— Możeby pan o mnie był łaskaw pomyśleć. Mam dość liczną rodzinę.

— Hm, albo ja wiem, zobaczymy, rzecz do pomówienia, tylko widzisz pan to zależy co najmniej od stu okoliczności.

Kwiatkowski nie rozumiał przymówki, pochylił głowę i posmutniał.

— No, no, niech to pana nie przeraża. Liczba okoliczności zmniejszyć się może, stosownie do... okoliczności.

Rzekłszy to, jegomość roześmiał się i świdrował Kwiatkowskiego wejrzeniem swych małych bystrych oczu.

— Nie trać pan nadziei — odezwał się po chwili, nie w takich opałach ludzie bywają, a przecież... Ja, co będę mógł, zrobię, tylko wpierv muszę coś wiedzieć o panu.

Jeżeli będę do kogo przemawiał, niechże wiem, jak mam przemawiać i jakich argumentów użyć.

Kwiatkowski opowiedział w krótkości przeszłość swoją, oraz poinformował bystrookiego jegomości o swych stosunkach rodzinnych.

— Aha, córeczka najstarsza, — rzekł stary — a w jakim wieku, jeżeli wolno spytać.

— Siedemnaście.

— Wiosna życia! wiosna życia, panie dobrodzieju, kwiat młodości, dużobym dał za to, żebym miał córkę w tych latach; prawdziwa rozkosz dla ojca, a gdy za mąż wyjdzie, a dobrze...

— Biedna panienska nie może o tem marzyć.

— Robią karyery... oho, ile ja znam biednych panien, które później karetami jeździły.

Zwrócił na inny przedmiot rozmowę; o posadach dobrych, o stosunkach swoich zaczął opowiadać szeroko i ostatecznie przyrzekł, że coś znajdzie. Zarekomendował się przytem.

— Moje nazwisko niewiele panu powie... Herman, skromne, jak widzisz, mieszczkańskie — ale uczciwe. Żadnej plamy na niemniema, a żyło się, jak pan z siwych moich włosów wnosić możesz, dość długo. Za młodu trochę urzędowałem, później trudniłem się interesami, mająteczek miałem, następnem go sprzedał, operowało się pieniędzmi tak i owak, aby żyć, no i żyło się. Bogaty nie jestem, ale kawałek chleba mam. Dziećmi mnie losy nie obdarzyły; żonę miałem zacności kobietę, kaszlała i w Meranie umarła. Trudno, robiłem co mogłem, ratowałem, tysiące na to pękały...

Słyszący to, jakiś opodal siedzący człowiek, uśmiechnął się złośliwie. Herman to dostrzegł i nagle duszno mu się zrobiło, Kwiatkowskiego za rękaw pociągnął.

— Chodź pan — rzekł — na świeże powietrze, nie dobrze mi, przejdźmy się, do domu pana odprowadzę...

— To ja pana odprowadzę raczej, jeżeli chorą się pan czuje.

— Nie, nie, to przejdzie, nieraz mam takie ataki, rodzaj astmy, czy jak tam doktorzy nazywają. Ja mieszkam niedaleko, a że spacer w ta-

kich wypadkach dobrze mi robi, więc do domu jeszcze nie pójdę.

Poszli w Aleje gawędząc, Kwiatkowski humor odzyskał, szczęśliwy, że takiego wpływowego człowieka znalazł.

Gdy ojciec o zajęcie się starał i z tego powodu całe dnie po za domem spędzał, córka urządziła małe mieszkanie. W przeciągu kilku dni uporządkowała je, przyozdobiła, doprowadziła do czystości wzorowej. Znalazły się i białe firanki i w oknach kwiatki, a pociejowskie meble, biedny garnitur, wytrzępane z kurzu, czyściutkie, wyglądały wcale dobrze, a nawet i pokaźnie.

Krzążając się po ciasnych pokoikach, Mania ubolewała, że swoich kwiatków, które sama na wsi wyhodowała i pielęgnowała, tu niema. Takie były ładne, tak się pięknie trzymały. Zadaleki i zakosztowny transport, rozdarowała je więc, a tu w Warszawie podwójnie byłyby jej drogie. A może i lepiej, że ich niema; kto wie, czy znajdzie się dosyć czasu na to, by pielęgnować rośliny, matka słabowita, rodzeństwa troje, a przytem będzie przecież zajęcie. Jakie, nie wie jeszcze, postara się o nie, wyszuka. Rodzicom ciężarem być nie chce, czuje w sobie dość sił do pracy, zdecydowana jest choćby całe dnie i noce przy robocie przepędzać. Zachodzi tylko pytanie, do czego się wzięść i co robić?

To się obmyśli; są ludzie, dobrej rady nie odmówią, może nawet i z pomocą przyjdą. Mania jest w tym wieku, w którym się w ludzi wierzy i prawie bezgranicznie im ufa.

Przybywszy do Warszawy, ujrzawszy tak wiele naraz obcych twarzy, uczuła pewną trwożę, obawę jakąś, lecz po kilku dniach pobytu, gdy się rozpatrzyła trochę, obawa zniknęła. Ludzie są jak ludzie, tacy w dużem mieście, jak i na wsi. Stróż domu, chłop ze wsi, wyraża się po mazursku, żona jego istna wiejska babina, szewc na dole, jakby rodzony brat tego, co w miasteczku buty szył; jejmość co sklepik trzyma, pisz, małuj, wiejska klucznica. Taka sama zakłopotana, kłótniwa, uganiająca się od świtu do nocy za robotą, za dziećmi.

Lokatorów bogatych, co zajmują mieszkania frontowe, Mania nie zna, nigdy ich na podwórku nie widać; wchodzą po marmurowych schodach, przykrytych szerokim chodnikiem, niekiedy przyjeżdżają do nich goście karetami... wynajętymi podobno; ale zna lokatorów z oficyn ubogich, zapracowanych, lecz wesołych i bawiących się przy święcie.

Coś ją ciągnie do tych ludzi, gnieźdzących się w ciasnych lokalach, do tych ludzi, co równo ze świtem wstają i do roboty idą, co późną nocą do domu wracają z fabryk, kantorów, drukarni.

W tej samej oficynie, na tem samem piętrze co Kwiatkowski, mieszkała rodzina. Mąż chodzi do fabryki na Solec, żona ma w domu maszynę i robi trykotaże do sklepu, prowadzi gospodarstwo domowe i wychowuje dwie córeczki, pięcioletnią i trzyletnią.

Z tą sąsiadką Mania zapoznała się od razu, bez żadnych trudności; młoda kobieta chętnie jej

udzielała wszelkich żądanych informacji, gdzie targ najtańszy, którego dnia co kupić, jak się nie dać oszukać; raz nawet wybrały się na Grzybów po sprawunki. Znajomość dla dziewczyny, nieznaącej zupełnie miasta, była bardzo korzystną. Dowiedziała się też Mania od sąsiadki swej, że o pracę i zarobek w Warszawie dość jest trudno, ale postarać się można, tylko trzeba coś umieć. Znaąc dobrze krój i szycie, można się w magazynie umieścić, umiejąc robić kwiaty, do fabryki dostać się nie trudno i zaraz pensją płacą, po pięć, sześć, nawet do dziesięciu rubli — to jest dochód piękny, a przy oszczędności można z niego żyć.

— W rzeczy samej, — mówiła sąsiadka przymrużając piękne czarne oczy — żyć można, tylko trzeba oszczędnie i z wyrachowaniem. Mój mąż w fabryce zarabia rubla dziennie, ja za swoją robotę mam ośm rubli na miesiąc i jak pani widzi, żyjemy porządnie.

Sąsiadka doskonale znała miasto i sfery pracujące i informacje jej mogły się Mani przydać. Dziewczyna czekała tylko na przyjazd matki, aby ostatecznie powziąć postanowienie, a rwała się do czynu całą siłą młodej, zdrowej natury.

Wieczorem jednego dnia oczekiwała ojca, który zapowiedział, że przed ósmą na herbatę przyjdzie. Błyszczący, czyściutki samowarek już syczał, w drucianym koszyczku leżały świeże bułki, a Edzio pochylony nad książką, której mu przyjaciel Wicuś pożyczył, coraz to podnosił głowę i spoglądał to na zegar, to na bułki. Te go bardzo nęciły.

O ósmej ktoś zadzwonił, Edzio drzwi otworzył, ale szybko się cofnął; ojciec nie sam powrócił, lecz gościa przyprowadził z sobą.

— Maniu — rzekł, wskazując przybyłego, — oto mój znajomy pan Herman.

— Do usług panny Maryi; jestem szczęśliwy, że mogę panią poznać. Ojca pani mam honor znać od kilku dni, sądzę jednak, że znajomość będzie długotrwałą.

— Przedewszystkiem dzieci — rzekł Kwiatkowski — podziękujcie panu.

— O, bardzo proszę — przerwał siwy jego-
mość, nie ma za co, bagatelka!

— Dzięki panu Hermanowi — ciągnął Kwiatkowski — mam od pierwszego posadę.

— Posadę! ojciec ma posadę! ach jak to dobrze — zawołał Edzio.

— Posadę w składzie węgla kamiennych.

— Ależ, panie dobrodzieju, przerwał stary jegomość, jest też o czem mówić. Muszę objaśnić dodał, do Mani się zwracając, że to wcale nie posada, tylko tymczasowe zajęcie, zanim czegoś lepszego nie wyszukamy.

— Zawsze jest coś, punkt oparcia.

Usiedli przy stole i Herman z poza niebieskich okularów, świderkowatemi oczami bacznie się Mani przypatrywał, wzroku z niej prawie nie spuszczał, a dziewczyna istotnie była ładna.

Miała regularne rysy twarzy, oczy w prześlicznej oprawie, duże, bystre, żywe, zgrabną kibić, ręce małe, a cała jej postać tchnęła wdziękiem naturalności i prostoty.

Jegomość w okularach patrzył i kombinował, jakby ta dziewczyna, która w skromnej czarnej sukience tak piękną się wydaje, wyglądała w wykwintnym stroju i klejnotach.

Wzrok Hermana niemile działał na Manię, było w nim coś odstręczającego; unikała też jego wejrzenia, chociaż on ciągle z rozmową do niej się zwracał.

Mówił o teatrze, spacerach, pytał czy już poznała Warszawę. Zapytanie to wydało się jej ironią.

— Teatr kosztuje — odrzekła — a my na wyrzucenie nie mamy.

— Myli się pani podwójnie — odparł — przede wszystkim teatr jest to najtańsza rozrywka i kosztuje bardzo niewiele, a powtóre niema takiego położenia, w któremby sobie człowiek absolutnie wszelkiej przyjemności odmawiać musiał. W pani wieku taka abnegacya jest niewłaściwa, młodość powinna iść w parze z wesołością i nie gubić się w czarnych myślach.

— Ja się im też nie oddaję, na los się nie uskarżam, stosuję się do położenia i jestem ze wszystkiego zadowolona.

— Dajmy na to, że tak, ale są różne stopnie zadowolenia. Komu źle, ten marzy o tem, aby mu było dobrze — komu dobrze — pragnie, żeby mu było lepiej, nieprawdaż?

— Może... Należę panu jeszcze herbaty. Od kiedy ojczulek obejmuje posadę?

— Od pierwszego,

— Posada — rozśmiał się Herman — pani

to nazywa posadą! Trochę poczekawszy będzie posada prawdziwa, co się zowie. Zakrzątniemy się koło tego. Nie na kolei, nie, nie warto; dadzą byle co, a potem dwadzieścia lat czekać każą na awans. Obejdziemy się bez łaski. Mam ja przyjaciela, który dużo może, a dla mnie zrobi wszystko. Taki pan! koligacye, stosunki, bogaty przytem, ma bardzo dobry charakter. Właśnie dziś dopiero dowiedziałem się, że z zagranicy powrócił. Złoty człowiek, brylantowy człowiek, perła, a pomimo bogactwa swego, pomimo stanowiska, koligacyj, popularny, że pojęcie wszelkie przechodzi. Nie gardzi biedniejszymi, nie zna przesądów, fenomenalny człowiek. Ja go tu do państwa przyprowadzę.

— O niech pan tego nie robi — rzekła Mania.

— A to dla czego?

— Nie potrafilibyśmy przyjąć takiego gościa.

— Ależ jakie tam przyjęcie! Dobre słowo, chwila przyjemnej pogawędki, wreszcie szklanka herbaty najzupełniej wystarczy... On ludzi szuka, a nie przyjęcia.

— Czyż mu brak ludzi w jego własnej sferze? — zapytał Kwiatkowski. — Doprawdy, Mania ma rację, cobyśmy z takim panem robili?

— A, widzi pan, są ludzie i ludzie. To człowiek bardzo oryginalnego usposobienia i jego własna sfera jest dla niego nudna. Naprzykrzyły mu się ślizkie posadzki, woli zwyczajną, tylko heblowaną podłogę.

Herman opowiadał dalej o swoim znajomym

niestworzone rzeczy, o jego filantropii niezmiernej, o czynach szlachetnych.

— To już musi być stary człowiek, skoro tyle dobrego w życiu swem uczynił — rzekła Mania.

Herman rozśmiał się i oczkami z pod okularów błysnął.

— A to pani trafiła jak kulą w płot. Ten stary, według pani przypuszczenia człowiek, ma najwięcej trzydzieści kilka lat życia. Uśmiełby się serdecznie, gdyby wiedział, że go takim staruszkim uczyniono. On staruszek, to pyszne, doprawdy! Swoją drogą, choć to już zaleta drugorzędna, powiem, że jest to mężczyzna piękny, w całym znaczeniu tego wyrazu, wszystkie kobiety kochają się w nim na zabój, ale on na to nie zważa.

— Żonaty? — zapytał Kwiatkowski.

— Nie, kawaler i zapewne nieprędko się chyba ożeni.

— Dla czego?

— Widocznie nie znalazł jeszcze takiej, któraby mu się podobała. Wybredny jest,—i ja takim niegdyś byłem. Moją żonę nieboszczkę uważano swego czasu za cud piękności... słowo daję.

Do godziny dziesiątej jegomość w okularach opowiadał o swoim fenomenalnym przyjacielu, poczem pożegnał się i wyszedł.

— Zkąd ojczulek zna tego pana?—zapytała Mania.

— Przypadkowo poznałem go w cukierni...

Prawda, że dość miły człowiek?

— Aj nie! ojczulku, wprost przeciwnie, ma w sobie coś odpychającego.

— Uprzedzasz się.

— Doprawdy, dość spojrzeć mu w oczy, szczególnie ma niemiłe wejrzenie.

— A jednak posadę, jaką dostałem, jemu zawdzięczam.

— Czy darmo to zrobił?

— Niby nie darmo, a prawie darmo... za pół darmo właściwie.



IV.

Edzio dostawszy się do szkoły, miał ogromny ambaras z łaciną i cały wieczór jej poświęcał, a że odznaczał się niezmiernym apetytem i szczególnem amatorstwem bułek, więc łączył przyjemne z pożytecznym i jednocześnie uczył się głośno i jadł. Jadł łacinę z bułkami, z chlebem, czasem z serem lub mięsem, jadł całemi wieczorami, tem więcej, że ona mu z początku szła bardzo trudno i z oporem. Przy takiej czynności policzki miał wypełnione i bełkotał bardzo niewyraźnie, ku wielkiej ucieście Mani, która się z dziwacznych min braciszka wyśmiewała.

A-gri-co-la a-rat, a-lau-da can-tat — powtarzał o ile pełne usta pozwalały, potem agricolę i bułki popijał herbatą i dalej jadł już łacinę na sucho, dopóki potężniejszy nad wszelkich klasyków sen nie zmorzył go i powiek mu nie skleił. Wtenczas padał chłopczyzna na łóżko i jeszcze we śnie końcówkę pierwszej deklinacyi powtarzał. Po przebudzeniu się rano, znowu do bułek i do łaciny się zabierał.

Dzięki temu systemowi, chłopiec dość dobrze

wyglądał i z początkami łaciny oswajał się coraz bardziej, tak, że od czwórek karierę szkolną rozpoczął. Ciężka to była sprawa, uczyć się bez żadnej pomocy, bez korepetytora, na pożyczanych książkach, bo ojciec kupić za co nie miał, ale chłopczyzna ambitny radę sobie dawał, sił nie szczędząc i pracy. Czasem Wicus do niego przychodził i pomagali sobie, robiąc wspólnie zadania arytmetyczne, lub lekcyi jeden drugiego słuchając. Pomiędzy chłopcami zawiązywała się przyjaźń coraz silniejsza; naukę, rozrywki mieli wspólne.

Edzio gotów się był z przyjacielem nawet bułką podzielić, do tego stopnia go polubił.

Wicus codziennie prawie bywał u Kwiatkowskich. Edzio również często do rodziców przyjaciela zaglądał. Przez dzieci zapoznali się starsi i Mania znalazła sposobność zbliżenia się do ubogiej, ale nader zabiegliwej rodziny i mogła przypatrzyć się jej życiu, tak niepodobnemu do swobodnego życia wiejskiego.

Była to dla niej jakby szkoła, z której wypróbowane, praktyczne wskazówki czerpać mogła.

Ojciec tej rodziny pracował na kolei żelaznej w ekspedycyi towarowej. Codziennie od wczesnego rana biegł do pracy, z kąd wracał późnym wieczorem.

Przychodził zwykle zmęczony; z żoną i dziećmi mówił niewiele, posilał się tylko i kładł na spoczynek, aby nazajutrz o świcie znów do roboty spieszyć. Od kilku lat zajmował tę skromną posesadę i taki tryb życia prowadził, wynagrodzenie

miał bardzo niewielkie, ale nadzieja awansu i emerytury na stare lata utrzymywały go na miejscu. Rzecz prosta, że z pensji rodziny wyżywićby nie mógł, więc pomagała mu żona, zajmując się szyciem.

Trzymali lokal dość duży, gdyż «magazyn» miał powodzenie. Robiono w nim modnie i tanio, wskutek czego klientela była liczna.

Magazyn nosił firmę «Sophie», gdyż takie było imię jego właścicielki. Dzieci mieli dwoje, owego właśnie Wicusia, co się tak z Edziem zaprzyjaźnił i córeczkę Wandę, szesnastoletnią już pannienkę. Ta właśnie pensję ukończyła i wzięła się do praktycznego zajęcia; pomagała matce. Odprawiono jedną pannę, a Wanda jej miejsce zajęła.

Magazyn pod firmą: «Sophie» znajdował się na Hożej, o kilka zaledwie domów od mieszkania Kwiatkowskich. Edzio i Wicusz stanowili niejako łącznik między dwiema rodzinami; za pośrednictwem braci zapoznały i zaprzyjaźniły się siostry; Mania często musiała odwiedzać pracownię. Pani Zofia, przystojna jeszcze kobieta, odznaczała się pogodnym usposobieniem i dobrym zawsze humorem, a Wandzia przewyższała ją w tem, jako młodsza i wcale jeszcze trosk i kłopotów życia nie znająca. Gdy Mania do nich przyszła na chwilę, smutek jej rozwiewał się bardzo szybko, a chmurki uciekały z białego czoła; nabierała otuchy w tem otoczeniu skromnych, mało od losu wymagających, a więc zadowolonych z niego pracownic.

— Wiesz co, Maniu — rzekła Wanda — gdyż po paru tygodniach znajomości już sobie po imieniu mówili — wiesz co, gdzie będziesz szukała jakiej pracy i zajęcia, przychodź tu do nas, nauczymy cię szycia i kroju, a później albo z nami zostaniesz, albo założysz sobie magazyn i będziesz panią co się zowie. Myślisz, że to źle? Przeciwnie, doskonale! Po trzy ruble od roboty sukni płacą, a kapelusze bardzo korzystna rzecz. Widzisz bo kwiaty popłacają tylko w sezonie, krawatami cała Warszawa zasypana, malowana porcelana śmiechu warta, bo prawie wszyscy na fajansie jadają, a sukien i kapeluszy zawsze potrzebują.

— Ale — moja droga, na własny magazyn trzeba pieniędzy, a ja ich nie mam i mieć nie będę...

— Spytaj się mamy, ile milionów na założenie pracowni wydała?

— O istotnie — wtrąciła pani Zofia — ogromnie dużo, dwie maszyny wzięłam na wypłaty, kupiłam manekin i zaprenumerowałam pismo z modami. Taki był początek; naturalnie później niejedno jeszcze trzeba było dokupić, mieszkanie wziąć większe, ale to już z dochodów.

— Nie namyślaj się Maniu — rzekła Wanda — będziemy razem pracowały, razem zabawimy się nieraz, ah! i jak jeszcze. Wiesz, że u nas bywa dużo osób.

— Naprawdę?

— O tak, bywają; głównie z kolei, koledzy ojca. Kilku młodych ludzi, pan Jan, pan Michał, pan Zygmunt. Ślicznie tańczy... Przekonasz się kiedy.

— Mnie nie taniec w głowie.

— Ciekawam dla czego?— odezwała się pani Zofia — młoda osoba powinna być, jak to mówią, i do tańca i do różańca. Poważne myśli swoją drogą, zabawa swoją. Wasze babki, wasze matki w swoim czasie tańczyły i wyście tańczyć powinny.

— Wy — rzekła, śmiejąc się Wanda — dla czego to wy — albo to mama tańczyć nie lubi?

— Lubię, nawet bardzo lubię, ale już dla mnie czas tańca przechodzi.

— Mamo! ja mam myśl — zawołała Wanda, klaszcząc w dłonie — mam świetną myśl, znakomitą!

— Ciekawam?

— W tym miesiącu są właśnie moje urodziny, szukałam w kalendarzu i trzeba akurat zdarzenia, że wypadają w niedzielę.

— Do czegoż to prowadzi?

— Ah! jaka mama niedomyślna, urodziny wypadają w niedzielę, w niedzielę niema nic do roboty, wszyscy są wolni, więc salonik się wyprzątnie i mama wyprawi bal.

— To kosztuje, moja kochana.

— Ciekawam co? Trochę herbaty, cukru, bułek i wędliny — no i jeszcze tam czego, a bawić się będziemy do rana. Powiedz Maniu, czy nie mam racyi? Ma się rozumieć, że ty przyjdiesz i będziesz królową balu.

— Nie, ja nie będę mogła...

— Nawet słuchać o tem nie chcę, musisz być, bo inaczej będę na ciebie śmiertelnie obrażona.

Żadnych wymówek nie przyjmuję. Dla czego nie masz się zabawić, w domu siedzisz jak pustelnica, nikt u was nie bywa...

— A, przepraszam, bywa.

— Ciekawam kto?

— Znajomy ojca.

— Jak się nazywa?

— Pan Herman.

— Czy nie siwy, w niebieskich okularach?

— Ten sam, czy go znasz?

— Ja, nie, ale coś sobie przypominam, ojciec o nim opowiadał. Miał podobno jakąś sprawę, chciał żonę głodem zamorzyć, czy coś podobnego.

— Nie może być, mówi, że jest wdowcem i o swej nieboszczce wspomina zawsze z entuzjazmem.

— Mniejsza o niego, zapytam kiedy ojca, to ci szczegółowo opowiem, — więc mameczko będzie bal?

— Jeżeli koniecznie tego pragniesz...

— Żebym tylko mogła gdzie spotkać Zygmunta, on młodzież sprowadzi, będziemy tańczyły do upadłego.

— Któż jest pan Zygmunt?

— Nie znasz go? To cię bardzo żałuję.

— Dla czego?

— Ah! moja droga, pan Zygmunt, to jest najprzyjemniejszy człowiek pod słońcem.

— Ho! ho! zaciekawiasz mnie, moja Wandziu.

— Jeżeli mi nie wierzysz, zapytaj mamy.

— Istotnie — wtrąciła pani Zofia — bardzo miły człowiek... jest to nasz dość nawet blizki

kuzyn, Wandzi cioteczno-cioteczny brat, chociaż gdyby chciał się z nią ożenić, toby trudności wielkich nie miał.

— A więc Wandzia zdecydowana?

— Ja nie mówię o Wandzi, lecz o dyspensie. Jeden nasz znajomy adwokat utrzymuje, że w tym wypadku dyspensa wcale nie potrzebna.

— Ja myślę, mamó -- wtrąciła Wandzia — że zbyteczna, bo nikt niema zamiaru o nią się starać.

— Czemu nie? Jabym przeciwko temu nic nie miała.

— Mama wie bardzo dobrze, że ja pana Zygmunta bardzo lubię, bardzo mu dobrze życzę, kocham go nawet jak rodzzonego brata, ale od tego przywiązania do dyspensy tak daleko — dalej niż do Skierniewic.

— Ciekawam dla czego?

— Dla tego, że daleko.

— Eh! Wandziu -- wtrąciła Mania — to co mówisz wydaje mi się nieprawdopodobnem. Uważasz go za najprzyjemniejszego człowieka, masz dla niego sympatyę, z którą się nie taisy — a jednak...

— A jednak żoną jego nie będę.

— Ah, domyślam się.

— No?

— Zapewne on jest zajęty kim innym?

— Przeciwnie, jest zajęty mną i już mi się dwa razy oświadczał, ale dostał najformalniejszego kosza.

— Biedny chłopiec, dopieroż musiał się zmartwić?

— Mała rzecz, pocieszy się prędko, albo mało panien w Warszawie?

— Ale dla czego ty nie...

— Bo nie. Sądzę, że mam niejakię prawo decydować o moim losie. Nieprawdaż mam?

— Ja cię nie zmuszam, ale mam nadzieję, że namyślisz się jeszcze.

— Bardzo wątpię, teraz przynajmniej nietylko się nie namyśle, ale nawet wcale myśleć nie będę. Mam pełną głowę balu. Musi to być zabawa, co się zowie. Pan Zygmunt, mój rycerz niefortunny, niech sobie głowę urywa, niech co chce robi, aby tylko młodzież sprowadził i zabawę ożywił. Zobaczysz Maniu, jak to będzie wspaniałe.

Panna Wanda rozwinęła naprędce cały program przyjęcia.

Meble z saloniku będą wyniesione, oprócz kanapki dla starszych pań i krzeseł dla tancerek. Posadzka zostanie wyfroterowana w nocy z soboty na niedzielę, za co Wojciechowa otrzyma, jako honorarium nadzwyczajne, butelkę piwa.

Pianino jest na miejscu, a dwie ciotki będą grały na zmianę. Ciotka Eufrozyna przyrzekła już zrobić ofiarę ze swego talentu, a ciotka Teresa jest tak dobra i uczynna, że nawet jej prosić nie trzeba. Skoro się dowie o balu, sama przyjdzie i choćby nawet do białego dnia bębnić będzie mazura.

Przyjęcie, ma się rozumieć, wspaniałe. Herbata jak kto lubi: czysta, z cytryną, ze śmietanką, z arakiem; bułki, chleb biały, rozmaitości, ser-

delki, szynka, owoce. Winogrona są bardzo tanie, więc można używać. Dla panów wódka i piwo. Stroje już obmyślane, mama będzie w sukni popielatej, Wanda w szafirowej, ale jak ta szafirowa zrobiona! Przyjaciółki i koleżanki pozielenią z zazdrości.

Niech zielenieją; kto ma magazyn, musi się elegancko ubierać, choćby dla honoru firmy. Dla tej idei trzeba być chodzącą wystawą. Mania się wymawia, że niema odpowiedniej sukienki. Jest to bagatela, przerobi się starą suknię, odświeży, ugarniruje i będzie zupełnie jak nowa. Praktykuje się to często, bo na nowe nieraz niema pieniędzy, a ubierać się ładnie trzeba. Według skrupulatnego obliczenia, pań starszych będzie cztery, nie licząc w to dwóch ciotek od pianina; panien siedm: dwie przystojne, trzy tak sobie, a dwie nie bardzo. Wanda z Manią dwie — to dziewięć, prócz tego dwa podlotki, akurat tancerki dla Edzia i Wicka.

Pan Kwiatkowski przyjść też musi; będzie rządzca domu i jeden maszynista, to razem z ojcem złożą pulkę preferansa. Na ten cel ustawia się stolik w sypialnym pokoju, tam też panowie chodzić będą na papierosy.

Co do panów, to będzie sześciu takich, co się liczy, a czterech takich, co się nie liczy.

Mania tego zrozumieć nie może, chociaż to takie proste.

Wanda jej tłumaczy.

— Widzisz bo — mówi — jest młodzież i młodzież: pan Zygmunt, pan Jan, pan Stanisław na-

przykład, mają po pięćset, sześćset rubli pensyi dodatek na węgle, opłacają składkę emerytalną, więc trzeba ich liczyć — tamci znów, chociaż młodzi i bardzo dobrze tańczą, mają tak niewiele, że im samym ledwie na obiad wystarcza. Mogą się oni podobać, mogą być bardzo przyjemni w towarzystwie, można ich od czasu do czasu na zabawę zaprosić, ale liczyć—cóż znów?

Wzruszyła ramionami.

— Wiesz Wandziu — rzekła Mania — że to jest bardzo dobry podział.

— Spodziewam się!

— Ma on jednak bardzo słabą stronę.

— Ciekawam.

— Że go i do panien zastosować można. Nie mówię o tobie, bo ty masz ojca z pewnem stanowiskiem, magazyn, ładne suknie, ty się więc liczysz, ale ja należę do drugiej kategorii.

— E, my jesteśmy zupełnie co innego.

— Wcale nie; jesteśmy bogate lub ubogie.

— Ubogie! bogate, wielka rzecz! Znałam kilka ubogich panien, które doskonale za mąż powychodziły, a znam też wcale niebiedne, a nie mogące doczekać się konkurentów — to głównie zależy od szczęścia. Prawda mamó?

— O, niezawodnie... Zresztą wszystko od szczęścia zależy. Zdaje mi się, że ktoś dzwoni.

— Rzeczywiście — rzekła Wanda—ciekawam bardzo kto... A! — zawołała — jak to dobrze, pan Zygmunt! Doprawdy, trudno się zjawić bardziej w porę, właśnie mówiłyśmy o panu.

— Jestem bardzo szczęśliwy—rzekł młody czło-

wiek, wchodząc i witając się z paniami — widocznie jakiś dobry duch podszeptał mi, żebym się udał w tę stronę.

To mówiąc uścisnął rękę pani Zofii i Wandy, a Mani ukłonił się zdaleka.

— Panie Zygmuncie — rzekła Wanda — przedstawiam pana mojej sąsiadce i przyjaciółce, panie Maryi Kwiatkowskiej. Obie mamy wielką, a wielką prośbę do pana.

— O Wandziu! mów za siebie; ja pana bynajmniej mojami prośbami nie mam zamiaru obarczać.

— Bądź łaskawa, nie przerywaj. Zanoszę prośbę w imieniu nas obydwóch... Mój panie Zygmuncie!

Nastąpiła potem cała epopea o zamierzonym balu, opowiadanie programu ze wszystkimi szczegółami, wymienienie listy panien, jakie mają być zaproszone.

— Wiesz pan już wszystko — mówiła Wanda — cały program wypełnię, tylko młodzież należy do pana. Spodziewam się, że jako kuzyn i dobry nasz a życzliwy przyjaciel, postarasz się pan, żebyśmy się bawiły.

Zygmunt przyrzekł, że zrobi wszystko, co można.

— Pamiętaj pan — mówiła Wanda — liczę jak na Zawiszę.

Mania spojrzała na zegar.

— Ah! zapóźniłam się — rzekła — ojciec lada chwila nadejdzie, muszę spieszyć do domu.

Pożegnała się i wyszła.

— Jakże się panu ta młoda osoba podoba?—
zapytała Wanda po odejściu Mani.

— Ładna panienska.

— O znawco! znawco! — rzekła z przekąsem—
ładna panienska? ależ ona prześliczna ta Mania!

V.

Skład węgla kamiennych, w którym Kwiatkowski pracował, mieścił się w ciasnym podwórku, na odludnej uliczce, blisko rogatek. W zagrodzie, pod gołym niebem, 'zsypanych na jedną gromadę, leżało kilkadziesiąt korcy tych «czarnych dyamentów.» Obok nich stały dwa zasmolone wozy, stajenka na dwa konie i tak zwany: «kantor», to jest buda sklecona z cienkich desek, zaopatrzona w piecyk żelazny, dla ciepła, a właściwie mówiąc dla śwędu. W kantorze znajdował się tylko stolik, krzeselko kulawe i połamana kanapa. Na podwórku waga decymalna i wózek ręczny, na którym zasmolony, czarny od pyłu węglowego parobek, rozwoził węgle klientom.

Kwiatkowski, objąwszy posadę i kasyera i magazyniera w tym składzie, przychodził do obowiązku raniutko, skoro dzień zaczynało, a wracał do domu późnym wieczorem.

Wolał jednak tę pracę uciążliwą, aniżeli bezczynność, a przytem przynosiła mu ona tyle, że przynajmniej w części mógł nią komorne zapłacić.

Herman, który go często odwiedzał, wciąż robił nadzieję, że wkrótce coś lepszego się znajdzie.

— Tylko cierpliwości, tylko cierpliwości — powtarzał — zobaczysz pan, że ja panu wynajdę.

— Ja też czekam.

— Prawda, święta prawda, ale to się opłaci. Wrócisz pan na wieś do pracy, do której nawykłeś, ale trzeba czekać. Przecież ekonomem, leśniczym, lub rządzcą w maleńkim folwarku nie chciałbyś pan zostać.

— Ależ z największą chęcią, choćby dzisiaj.

— Nie, kochany panie, nie; jak jechać, to na dobrym koniu. Zostać plenipotentem generalnym w dużych dobrach, rozumiem. Pensya doskonała, tantiemy, dochody... Ja mam już coś podobnego na widoku.

Takie obietnice powtarzały się prawie codziennie, przytem przyjaciel starał się wybadać Kwiatkowskiego, czy ma jeszcze trochę gotówki i ile, ale ten zawsze wymijająco odpowiadał.

— Gdyby było trochę pieniędzy — mówił Herman — możnaby coś na własną rękę założyć, zawsze to lepiej niż służba.

— Zapewne.

— Człowiek swojej woli jest panem, słuchać nikogo nie potrzebuje; wie, że robi dla siebie. Powiedz mi pan, czy na tej dzierżawie, którąś trzymał, miałeś inwentarz własny?

— Naturalnie.

— I kaucya też była?

— Była i nią właśnie zapłaciłem zaległą ratę dzierżawną.

— To wcale niepotrzebnie.

— Więc miałem nie zapłacić?

— Można było procesować się, targować, żądać ulgi. Kto widział, żeby z dzierżawy tak dobrowolnie, sposobem zgodnym wychodzić! Ja wiem, że żaden właściciel majątku na ostatnią ratę nie liczy.

— Zapłaciłem co do jednego grosza.

— Głupstwo niepowetowane, głupstwo, a parę tysiacyzków w Warszawie przydałoby się, bardzo by się przydało. A, panie kochany, inwentarz był?

— Średni, ale w dobrym stanie.

— Sprzedało się?

— Po trochu; właśnie żona dla tego jeszcze nie przyjechała, że wyprzedaje różne rzeczy, które przy pospiechu trzeba oddać za bezcen.

— No, więc, mów pan co chcesz, ale nie może być, żebyś bez grosza został...

— Co to znaczy! Odrobina... wspominać nawet nie warto.

— Tysiąc, dwa, trzy?

— Ale z kąd? Przepraszam pana, węgle z kolei przywieźli, odebrać je muszę.

Wyszedł na podwórko a przyjaciel został w kantorze niezadowolony, że eks-dzierżawca zaufania do niego nie ma. Należy się ono, choćby za wyrobienie posady i za obietnicę wyszukania lepszej. On już i dla Mani miejsce dobre proponował w sklepie, ale Kwiatkowski podziękował i oświadczył, że dopiero po przyjeździe żony o losie córki postanowi. Już o tem więcej mowy nie było. Mania też do sklepu ochoty nie miała i zde-

cydowana była na naukę do magazynu pani Zofii uczęszczać.

Pan Herman skrzywił się, że propozycję jego odrzucono, ale stosunków z Kwiatkowskim nie zrywał. Przychodził niekiedy do składu, a czasem i do mieszkania zaglądał.

Nie mógł sobie często tej przyjemności pozwalać, gdyż Mania wcale nie dwuznacznie okazywała mu niezadowolenie i pomimo upomnień ojca, antypatyj swojej ukryć nie mogła.

— Poczekaj, harda dziewczyno—mruczał stary jegomość — przyjdiesz ty na moje podwórko jeszcze—i uśmiechnął się przytem złośliwie.

W dzień urodzin Wandy, Kwiatkowski z Manią i Edziem wybrał się do sąsiadów.

Była godzina ósma wieczorem; w saloniku, zaimprovizowanym naprędce z pracowni strojów damskich, zebrała się już garstka osób. Przewszystkiem były na stanowisku ciotki, gotowe na dany znak zasiąść do fortepianu i puścić w ruch kościste palce; było kilka pań starszych, panny «niczego», panny «tak sobie» i panny «ujdzie», oraz spora garstka młodzieży. Młodzież, którą się liczy, rozmawiała z pannami, ta zaś, co do rachunku nie wchodzi, stała we drzwiach, lub paliła papierosy po kątach, oczekując hasła rozpoczęcia tańców.

Wejście Mani zrobiło furorę. W skromnej sukience, pod samą szyję zapiętej, zarumieniona, z oczami spuszczone, wyglądała uroczo. Między młodzieżą rozszedł się jednomyślnie szmer uwielbienia, a starsze panie z kanapy mierzyły ją

złośliwemi wejrzeniami. Panny «tak sobie» i panny «niczego» były bardzo niezadowolone.

— Co to za jedna?

— Co za gąska z prowincyi?—szeptaly między sobą.

Wanda wyglądała bardzo ładnie. Naturalny jej wdzięk podnosiła jeszcze suknia zrobiona modnie i gustownie, duże niebieskie oczy błyszcząły życiem i radością.

Ujrawszy wchodzącą Manię, skinęła na Zygmunta i zaraz zbliżyła się z nim do niej.

— Panie Zygmuncie — rzekła — chciej pa-miętać, aby się panna Marya dobrze bawiła.

Zanim Mania zdążyła odpowiedzieć, Wanda zniknęła między gośćmi.

Kwiatkowski przez gospodarza domu zaraz do oddzielnego pokoju został wciągnięty. Był tam rządzca, czekano tylko na maszynistę, aby pulkę rozpocząć.

W oczekiwaniu czwartego zabawiano się rozmową.

— Pan dobrodziej, jak słyszę — mówił ojciec Wandy — ma zamiar dostać się na naszą drogę?

— Takie jest moje pragnienie. Obowiązku prywatnego, jaki mam, podjąłem się tylko tymczasowo.

— A ma pan jakie widoki?

— Przyniesienie naczelnika.

— A więcej nic.

— Nic.

— To pan nic nie masz w takim razie...

Kwiatkowski zmięszał się.

— Ależ panie szanowny — rzekł — wprost przeciwnie; mam najpewniejsze przyrzeczenie, że pierwszy wakans będzie dla mnie. Złożyłem list polecający od człowieka bardzo wpływowego i pozostającego w stosunkach przyjaznych.

— Co to wszystko znaczy!...

— Przeraza mnie pan.

— Jeśli nie mam wiary, to niech się pan spyta tego, na którego właśnie czekamy.

— Pan Symforyan, mechanik z naszej drogi — pan Kwiatkowski.

— O co to panowie chcieliście się zapytać mnie? — rzekł maszynista, szpakowaty, dość otyły jegomość z rękami narobionemi jak u drwała.

— A to, widzisz, kolega, pan ma przyrzeczenie naczelnika ***, że pierwszy wakans będzie dla niego.

— A to bardzo dobrze!

— Otóż powoływaliliśmy się na kolegę, żebyś powiedział, co to warto.

— Tyle, co pęknięty kocięł, mój panie, chociaż i to nie, bo pęknięty kocięł żydzi na szmelc zakupią, a to przyrzeczenie i niucha tabaki nie warto. Kto panu powiedział, żeby się do niego udawać?

— Zdaje się taki grzeczny i uczynny człowiek.

— Właśnie, że zanadto uczynny. Każdemu przyrzeknie, ale nikomu nie dotrzyma. Niech pan lepiej czego innego szuka, bo z tych obietnic chleba nie będzie.

Rządzca zaczął się niecierpliwić.

— Właściwie — rzekł — przy tej uroczystości,

w dniu, że się tak wyrażę urodzin panny Wandy, wartoby czasu napróżno nie tracić. Naczelnik naczelnikiem, a zabawa zabawą.

— Racya — rzekł maszynista — im wcześniej zaczniemy, tem wcześniej skończymy — ja jutro od 6-ej rano na służbę.

Czterej partnerzy do gry zasiedli. W saloniku zrobiło się gwarno. Ciotka Teresa silnie uderzyła w klawisze i grać zaczęła walczyka, który zapewne przed trzydziestu laty musiał być w modzie. Rozpoczęły się tańce; po walcu polka, później kontredans, znów walczyk a nareszcie mazur, ze zmianami, z coraz nowemi figurami, bez końca.

Tańce prowadził pan Józef, jeden z tych młodzieńców, co się nie liczą; w tym charakterze jednak liczył się, grał pierwszą rolę i dumny był z tego. Komenderował jak wódz na placu boju, wytwarzał koła, kółka, kółeczka, krzyże, zwracał tanecerzy na prawo i na lewo, aż ochrypl od komendy. Pierwszej ciotce palce od bębnienia już popuchły, zastąpiła ją druga i z całym zapalem świeżej energii uderzała w klawisze.

— Jak się bawią, jak się bawią! -- rzekła mama dwóch panien «tak sobie» do gospodyni domu — to tylko u państwa może być tak wesoło.

— Dla czegoż tylko u nas? I u pani przecież bawiłyśmy się wybornie zeszłego roku. Wandzia przez trzy dni później chodzić nie mogła.

— Ona ma szczęście, ale to nic dziwnego, takiej ślicznej panience młodzież nie pozwoli się nudzić.

— Pani córeczki także tańczą.

— To ciężka artylerya.

— Co też pani mówi!... panienki jak motylki, ze starszą pan Józef wciąż tańczy, a to tancerz doskonały.

— Mała z tego pociecha, człowiek bez stanowiska.

— Ale z przyszłością.

— A to warto jedno z drugim nic.

— Proszę pani, jeżeli młody człowiek jest pracowity, uczciwy, to czy tak, czy owak, ma przed sobą przyszłość. Prędzej czy później, poznają się na nim — gdy zaś młodzi mają skłonność ku sobie...

— Ach! proszę pani, okropną, coś zadziwiającego.

— W takim razie pobłogosławić; ja na pani miejscu nie robiłabym żadnych przeszkód.

— Sądzi pani, że ja... a broń Boże! jeżeli Micia widzi w tem swoje szczęście...

— Więc?

— Otóż to, cóż ja mam zrobić i co właściwie błogosławić, kiedy on się dotychczas nie oświadczył. Taka to dziś młodzież, moja pani? Przychodzi, oczami przewraca, herbaty wypija masami, serdelków zjada co się zmieści, jak się trafi tańczyć to tańczy, ale więcej nic, słówka nie piśnie. Niech mi pani wierzy, że czasem tracę cierpliwość, bo, przed panią sekretów nie mam, ale Micia już dwudziesty czwarty rok, zdaje się, przed dwoma laty skończyła. Już czas, doprawdy czas. Jednego razu naumyślnie zostawiłam ich

sam na sam, chciałam im nastreczyć sposobność. Kochasz, to powiedz, oświadczyć się, panna cię nie zje, czego się boisz? Zostawiam ich, proszę pani, tylko we dwoje. Później pytam Mici, niby tak sobie od niechcienia: o czem też z tobą mówił pan Józef?

— Ciekawam.

— A — powiada Micia — opowiadał mi o nowej sztuce, jaką grają w teatrze od tygodnia. I bądźże tu matką droga pani! Okropne rzeczy, do prawdy!...

— Niech się pani nie martwi, z czasem to przyjdzie.

— Może przyjdzie, daj Boże, ale przecież, jak pani wiadomo, nie samą tylko Micię mam, jest Julka, a na nią także już czas.

— To jeszcze dziecko.

— Mogę panią zapewnić, że pełnoletnie.

— Niechże się pani nie martwi. Prędzej czy później młodzież zrozumie, że...

— Nie, nie, ja już w to nie wierzę. Jeżeli ten pan Józef, a taki zdaje się rozsądny chłopiec, do prawdy, to okropność. Wolałabym mieć dwunastu synów, aniżeli dwie córki!

Zygmunt ciągle asystował Mani, tańczył z nią najwięcej i w wolnych od tańca chwilach bawił ją rozmową. Z początku robił to na złość Wandzie, która go ciągle unikała, ale już pod koniec zabawy, przymus ten był mu coraz mniej przykry.

Właśnie rozpoczął się drugi mazur, młodzież zaangażowała damy. Zygmunt przy Mani się znalazł.

— To już zapewne ostatni mazur — rzekł — czy panią mogę do niego prosić?

Zaczęła się wymawiać, że już późno, że czuje się zmęczoną, że zaraz do domu wraca. Nie pomogły wymówki. Wanda, która na tę chwilę nadeszła, oświadczyła, że przed wschodem słońca nikogo nie wypuści.

— Nie wymawiaj się Maniu — mówiła — moje urodziny trafiają się tylko raz na rok. Chyba nie bawisz się tak źle, żebyś musiała koniecznie uciekać... Zresztą prosiłam pana Zygmunta, żeby ci nie pozwolił nudzić się.

— Otóż widzisz...

— Nic nie widzę, nic widzieć nie chcę, uciekam. Co do mnie, bawcie się doskonale i tobie radzę to samo uczynić. Chyba nie możesz uskarżać się na pana Zygmunta.

— Wandziu!

— Później, później, moja droga, jutro będziemy miały dość czasu do gawędki. Idę prosić ciotki Teresy o wyjątkowego mazura.

W tej samej prawie chwili znalazła się przy fortepianie. Ciotka spojrzała na nią zdziwiona.

— Ja takiego nie grywam — rzekła.

— Ależ ciociu, moja ciociu, wyjątkowo, takiego z pod serca. Niech ciocia mnie wysłucha, bardzo proszę.

Ciotka uderzyła kilka akordów.

— Ten? — zapytała.

— Nie, ciocia umie jeszcze ognistszego. Ah! ten sam, bardzo dobry, tego nam właśnie trzeba.

— Wszystkie pary — zawołał dyrygent, — ale pani Zofia przeszkodziła mu.

— Proszę o małą przerwę — rzekła — podali przekąskę.

Ponieważ z powodu zamiany pracowni na salę balową, nie było z czego urządzać jadalni, więc wniesiono kilka stołów do sali i towarzystwo rozlokowało się jak mogło, młodzież usługiwała damom, a kierowała wszystkim pani Zofia.

Zygmunt nie odstępował Mani na chwilę, usiadł przy niej i rozmawiał z wielkiem ożywieniem. Starsze panie, które uważały widocznie Zygmunta za dobrą partycę, spoglądały na młodą parę złośliwie.

— Widzi pani — mówiła jedna z nich do najbliższej sąsiadki — jak to pozory mylą. Zdawało się nam, że to zwyczajna prowincjonalna gąska — a tymczasem...

— Wytrawna kokietka.

— Patrz pani, jak się rumieni i oczy spuszcza.

— Co za bezczelność!

— A teraz, widzi pani, teraz patrzy na niego, ale jak patrzy! Musiała ze dwie godziny egzer cytować się przed lustrem.

— Koniec świata!

— Panu Zygmuntowi bardzo się dziwię. Przecież jest tyle panienek.

— Ah! pani, mężczyźni zawsze jednakowi. Każda nowość ich zajmuje, tembardziej ładna nowość, bo trzeba przyznać, że jest ładna.

— Co też się pani zdaje!... Chyba jej pani zblizka nie widziała?

— Owszem widziałam.

— No to już nie rozumiem, co pani w niej ładnego znalazła, bo ja pomimo najlepszej chęci... Ot patrz pani, teraz wstaje, zbliża się do Wandy. Co za kokieterya wyrafinowana! jest czarna jak kominiarz, więc chce, stanąwszy obok jasnej blondynki jeszcze bardziej tę swą czarność uwydatnić.

— Być może, w samej rzeczy, włosy ma bardzo ładne.

— I Lucyper w piekle ma perukę koloru smoły. Bardzo się dziwię, że pani Zofia zaprosiła tę pannę. Dla nas dawnych znajomych i przyjaciółek nie powinna tego robić.

— Pod tym względem przyznaję pani najzupełniejszą słuszność, ale zdaje mi się, że pani Zofia własnej córce przedewszystkiem krzywdę wyrządza.

— No, no, bardzo ciekawam.

— To pani nic nie wie. Pan Zygmunt stara się o Wandę, podobno była to rzecz ułożona.

— Nie może być, no patrz pani: bajka o wężu, ogrzany przez litościwego chłopca, jest nieśmiertelna doprawdy, zawsze się powtarza... Ogromnie żałuję pani Zofii, ale sama sobie tego piwa narwarzyła; miałyby zięcia porządnego człowieka, a teraz co?

Po kolacyi wytrwała ciotka znowu zagrała mazura i poskoczyły pary jedna za drugą, znowu rażno z ogniem wiązały się w koła, rozpryskiwały, znów łączyły, bez odpoczynku, bez przerwy, aż już światło lamp zaczęło blednąć, a przez

okna, przez białe firanki jasność dzienna do pokoju wchodziła.

Panowie już oddawna pulę skończyli, rządcza do mieszkania swego chyłkiem się wyniósł, mąszynista na służbę pospieszył, pozostał tylko gospodarz i Kwiatkowski, który czekał końca zabawy, aby córkę do domu odprowadzić. Iść na spoczynek nie miał już czasu, bo skład z brzaśkiem dnia się otwiera i kupujący przychodzą.

Mania tańczyła ciągle. Zygmunt nie odstępował jej ani na krok.

— Jesteś pan niegrzeczny -- rzekła do niego.

— Ja?

— A tak! przez cały wieczór nie tańczyłeś pan, ani nie rozmawiałeś z Wandą. a przecież to solenizantka... kuzynka... i...

— I nic więcej, proszę pani?

— O! nie mów pan tak, jestem poinformowana lepiej, niż się panu zdaje.

— W takim razie oświadczyć pani muszę, że informacye są niedość ściśle. Zresztą nie zbliżałem się do panny Wandy wskutek wyraźnego jej polecenia.

— Jaki pan posłuszny!

— Jeżeli posłuszeństwo, jak w tym razie zgadza się z moją własną wolą, to dla czego nie mam być posłusznym?

— Mówisz pan w rozdrażnieniu; jutro możebyś tego nie powtórzył.

— Mogę panią zapewnić, że jutro i pojutrze i za tydzień.

— Eh, dajmy pokój tej rozmowie.

— Ma pani zupełną słuszość, tańczmy, to zdaje się już ostatnia figura... Tańczmy, czuję wielką ochotę do zabawy. Śmiałybym się i śpiewał, tak mi dobrze.

Ujął Manię za rękę i wniósł ją w grono tańczących. Kwiatkowski zastąpił im drogę.

— Maniu — rzekł — do domu czas, chciałbym cię odprowadzić, gdyż sam do obowiązku zaraz iść muszę.

Pani Zofia wdała się w tę sprawę.

— A, panie szanowny — rzekła — nie róbże nam przykrości, my same odprowadzimy pannę Maryę... chociaż, spojrzysz pan w okno, odprowadzanie wcale nie potrzebne, już dzień. Tylko się ten mazur skończy, dłużej zatrzymywać nie będę.

Młodzież przyłączyła się do tej prośby.

Kwiatkowski udał się na swoje stanowisko, a przerwany mazur trwał w dalszym ciągu i skończył się świetnym finałem, jakąś niezwykle skombinowaną figurą, z której pan Józef słusznie mógł być dumny.

Przy pożegnaniu, Wanda szepnęła do Mani:

— Dobrze się bawiłaś? jakże ci się Zygmunt podobał?

— O moja Wandziu, doprawdy, tak mi przykro...

— Wierzaj mi, że to złoty chłopiec... no — bądź zdrowa, jak się wypiesz, przyjdź, będziemy miały o czym mówić... O samych sukniach możemy godzinę opowiadać.

Mania, wróciwszy do domu obudziła Edzia, dała mu śniadanie i wyprawiła do szkoły. Spać

jej się nie chciało, była ciągle pod wpływem różnorodnych wrażeń. Zadawała sobie pytanie, czy wogóle wolno jej się bawić, gdy ojciec tak ciężko musi pracować, a matka daleko, w głuchem prowincjonalnem miasteczku, wyprzedaje resztki mienia, różnych sprzętów, gracików, niewiele wartych pod względem materyalnym, lecz dla niej mających znaczenie pamiątek.

Biedna matka! jej tak ciężko rozstać się z przedmiotami, przypominającemi jej lepsze czasy, młodość, chwile szczęścia... a córka się bawi! Zła, niedobra córka! Już więcej tego nie uczyni — ale cóż miała robić? Pani Zofia prosiła, Wanda prosiła, a to takie dobre, zacne istoty, tyle jej okazują życzliwości. Czyż można je obrażać odmową? Tak; nie można, a skoro się zaproszenie przyjęło, skoro się poszło — to czyż można psuć zabawę smutkiem i przygnębieniem swoim? Zresztą wszyscy bawili się, wszyscy tańczyli, a to jest zaraźliwe. Ogólna wesołość porywa, ujmuje, chwytą, ciągnie jak jaki psotny chochlik, rozgrzewa krew, każe zapominać o smutku, unosi jak na skrzydłach, otwiera świat nowy, niby nieistniejący, a przecież istniejący, skoro w nim tyle życia, tyle śmiechu, tyle szczerzej wesołości się mieści. A pan Zygmunt... On jest bardzo miły, sympatyczny i musi być dobry z gruntu. Dość spojrzeć w jego oczy siwe, duże, rozumne... Z początku te oczy były jakby smutne, potem ożywiały się coraz bardziej, przybywało im blasku, a później zupełnie smutek z nich zniknął i dopiero się przy pożegnaniu ukazał. Dla czego?

Dziwna dziewczyna ta Wanda. Czemu go tak unika... kiedy się w nim maluje i dobroć i siła i powaga — i chwilami nawet wesołość niewymuszona, swobodna...

Oparła głowę na rękę i przymknęła oczy w zadumaniu; wtem nagle brzęknął dzwonek u drzwi.

Pobiegła otworzyć. Do pokoju wsunął się pan Herman.

— Dzień dobry pani, rączki całuję, do nóżek upadam; ojczulka zapewne w domu nie zastałem.

— Przecież pan wie, gdzie się ojciec o tej porze znajduje i dziwię się, że pan tam odrazu nie poszedł.

— Myślałem... Co prawda mogłaby mi pani zaproponować, abym trochę spoczął; w moim wieku wejście na trzecie piętro trochę fatyguje.

— Sądziłam, że pan nie masz czasu, jak zwykle.

— Myli się pani, jak zwykle czas mam i pragnę z niego skorzystać i nie dla siebie, lecz dla pani.

— Dla mnie?

— A naturalnie, dla kogóżby? Dla siebie samego nie potrzebuję nic; to co mam, wystarcza mi na życie, skromne wprawdzie, lecz wygodne. Mógłbym przez całe dni fajkę palić, herbatę popijać i wyglądać oknem na ulicę.

— A któż panu przeszkadza?

— Temperament, charakter, natura moja, dobre serce. Nie jestem egoistą, nie potrafię żyć dla siebie tylko, więc, o ile możliwości, staram się

i zabiegam dla drugich. Ojciec pani, zacności człowiek, dziwnie przypadł mi do serca, powiedziałem sobie, że wydobędę go z tych węgli i wydobędę... tylko czasu trochę trzeba. Obecnie trafiła się szczęśliwa bardzo sposobność wyświadczenia mu przysługi pośrednio.

— Jak to mam rozumieć?

— Trafia się doskonała posada dla pani. Właśnie pomimo wieku i astmy, która mnie dręczy, biegłem z tą wiadomością jak młodzieniec. Sądziłem, że z radością będę przyjęty, a tymczasem przekonuję się, że dobre wiadomości nie robią na pani żadnego wrażenia, może dla tego, że odemnie pochodzą... W takim razie przepraszam...

— Panie — odrzekła Mania — racz mi pan powiedzieć, z czego mam się cieszyć? Ze słów pańskich, jak dotąd dowiedziałam się tylko o uczuciach życzliwości dla mego ojca, za które jestem bardzo obowiązana — i że się trafia dla mnie posada. Jaka? W tej chwili nie mogę mieć nawet przybliżonego pojęcia, czybym ją mogła przyjąć, czy ona dla mnie dobra, czy nie.

— Ależ co do tego, nie może być dwóch zdań, przyjąć bez namysłu i spieszyć się, żeby kto inny nie ubiegł. Kandydatek jest dwadzieścia, tylko przez moje osobiste stosunki to wyrobiłem, że dla pani zostawione pierwszeństwo i oczekują pani przybycia. Miejsce to świetne, wynagrodzenie doskonałe, a praca, prawie że żadna. Idzie o to, aby pani chciała być towarzyszką pewnej damy niemłodej, trochę niedołążnej i chorej. Czasem

wypada towarzyszyć jej na spacer w powozie, czasem coś przeczytać, porozmawiać z nią — oto i wszystko. Dama to z arystokracji, właśnie ciotka owego młodego człowieka, o którym państwu wspominałem. On tam bywa prawie codzień i jeżeli mam prawdę powiedzieć, jemu mam do zawdzięczenia, że miejsce to dla pani zarezerwowano. I cóż pani na to powiada?

— Dziękuję najuprzejmiej za pamięć o mnie i za dobre chęci.

— I więcej nic?

— Nic panie.

— Więc pani odrzuca ten wyjątkowy uśmiech losu? Wartoby jednak zastanowić się nad tem, doprawdy...

— Pan wie bardzo dobrze o tem, że nie jestem pełnoletnia i że mam rodziców, bez których wiedzy i woli nie mogę o losie swoim decydować.

— Bardzo słusznie, mówi pani jak poczciwa córka i jak osoba rozumna. Ja też nawet nie miałem w myśli, żeby pani bez wiedzy rodziców, a przynajmniej bez wiedzy ojca, obowiązek przyjęła, a jeżeli odniosłem się wprost do pani, to tylko, aby usłyszeć jej własne zdanie i będę bardzo szczęśliwy, jeżeli mi je pani da poznać.

— Dobrze więc, będę szczerą—i powiem panu otwarcie, że mnie ten, jak pan nazywasz uśmiech losu wcale nie nęci.

— Nie?

— Do pielęgnowania chorych powołania nie mam, siostrą miłosierdzia być nie pragnę.

— Ta osoba nie jest tak chora, aby wymagała ciągłego pielęgnowania.

— To wszystko jedno, panie. Zresztą choćbym przyjęła ten obowiązek, jakąż mi on przyszłość zapewnia?

— Przyszłość? Kto wie, może nawet bardzo świetną... Dama bezdziejna, gdyby jej się pani podobała, mogłaby co zapisać; przytem nie jest wykluczona możność szczęśliwego wyjścia za mąż, przy pani urodzie...

— Dajmy temu pokój... ja szukam takiej pracy, która dałaby mi byt, choćby najskromniejszy, lecz niezależny i stały.

— Ale gdzie go pani znajdzie?

— Już znalazłam.

— No, proszę... tak niedawno pani mieszka w Warszawie, a już...

— Tak, przecież myśleć o sobie wolno.

— Bez kwestyi... Więc pani propozycyę moją odrzuca z pogardą?

— Nie, panie, z podziękowaniem.

— Szkoda... bądź co bądź, miałyby pani zaraz dochód, pomogłaby pani ojcu, który ma tak niewiele... a i to, co jest, niebardzo pewne.

— Niepewne? — zapytała z przerażeniem — co pan przez to rozumie?

— Taki składzik, proszę pani, to efemeryda, dziś jest, jutro go niema... może być zwinięty, sprzedany komu innemu, a jak wiadomo, nowy właściciel, nowi ludzie. No, nie zabieram pani czasu, żegnam. Żałuję mocno, że pani nie akceptuje mojej propozycyi, a pragnąłem szcze-

rze pani dobra. Do widzenia, panno Maryo, zobaczę się jeszcze z ojcem pani.

Po odejściu Hermana Mania była jak oszołomiona, myśli jej plątały się bezładnie. Noc bezsenna, wrażenia doznane, obawa o ojca przygnębiły ją fizycznie i moralnie. Była przytem ogromnie znużona. Rzuciła się na fotel, zaczęła rozmyślać, zastanawiać się, lecz myśli jej mieszały się bezładnie, zrobił się z nich jakiś chaos, wreszcie natura upomniała się o swoje... Sen przerwał pasmo poplątanych myśli; odsunął daleko rzeczywistość i przynosił w zamian fantastyczne, świetlane, tęczowe obrazy...

VI.

W pracowni pod firmą «Sophie» jest bardzo pilna robota. Jak zwykle w karnawale, damy pragną się stroić i bawić, sukien nastarczyć nie sposób. Coraz nowe klientki przychodzą, a każdej na tem zależy, żeby toaleta była jak najprędzej wykończona. Są wieczorki, baliki i wesela, same epokowe daty, nieodwołalne terminy i choćby szwaczki miały nie spać wcale, robota musi być na czas.

Trzy panny przychodnie siedzą przy maszynach. Pani Zofia kraje materyały i przymierza na drucianej lalce. Wanda i Mania zajmują się wykończeniem. Wszystkie pracują prawie od świtu do późnej nocy i padają już od znużenia, a do końca karnawału jeszcze trzy tygodnie.

Ileż przez ten czas będzie jeszcze balów, wieczorków i zabaw.

— Mamo — odzywa się Wanda — byłabym bardzo kontenta, żeby ten utrapiony karnawał raz się już skończył. Już mi to szcicie bezustanne uprzykrzyło się. Doprawdy, mamo, wytrzymać dłużej trudno.

— Nie zmuszam cię do roboty, odpocznij sobie; mogę przyjąć jeszcze jedną pannę.

— Nie rozumie mnie mama. O co innego mi idzie. Ja się nie skarżę na szycie, jako na pracę, lecz na to, że pochłania nam ona bezpowrotnie tyle czasu. Wszystkim oddajemy ten czas, a nie mamy go dla siebie. Nie bywamy nigdzie, nie bawimy się — a ja jeszcze za wygranę nie dałam. Pragnę mieć choćby kilka dni wesołych przed śmiercią.

— Będziesz je miała w poście.

— Dziękuję; może mi mama każe grać w cenzurowanego, lub w pana pastora. Kłaniam uniżenie. Jeżeli mówię, że chcę mieć kilka dni wesołych, to mam na myśli taniec. Tak wybornie bawiłam się w dniu moich urodzin — i Mania także.

Mania pochyliła głowę nad robotą.

— Chodź ze mną — rzekła Wanda — pomożesz mi upinać suknię tej okazałej pani z Wspólnej ulicy. Szyk damulka, sądzę, że ona waży chyba z pięćset funtów. Siedemdziesiąt centymetrów w pasku, zachwycająca figurka!

— Podobno ślicznie tańczy — wtrąciła pani Zofia — słyszałam od pana Józefa, który bywa u tych państwa, że wyjątkowo tylko można spotkać tak wyborną i lekką tancerkę.

— Ha! ha!

— Nie śmieję się, osoby takiej tuszy podobno świetnie tańczą.

— No chodź, Maniu — zawołała Wanda — pomóż mi poupinać tę powiewną istotę.

Wyszły do drugiego pokoju, a podczas roboty, Wanda szepnęła Mani:

— Powiem ci coś bardzo, a bardzo przyjemnego.

— Cóż?

— On tu dziś będzie, między ósmą a dziewiątą.

— Nie wiem o kim mówisz.

— Nie udawaj, moja Maniu; zdaje mi się, że przynajmniej ze mną możesz być zupełnie szczerą.

— Ale...

— Będzie napewno. Wczoraj spotkał mnie na ulicy i dopytywał bardzo troskliwie o twoje zdrowie. Chciał także wiedzieć, czy mama twoja jest już w Warszawie.

— A cóż mu po tej wiadomości?

— Bywać chce u was. Przyznaj się Maniu, kochasz go?

— Nie!

— Przypuśćmy, że tak nie jest, w takim razie powiedz dla czego się rumienisz, gdy przyjdzie, a smucisz, gdy go długo nie widać?

— Zdaje ci się tylko...

— Mnie trudno wywieść w pole, mam dobre oko.

— Choćby mnie nawet pan Zygmunt obchodził, choćby cokolwiek zajmował, to jeszcze potrafiłabym nakazać sercu milczenie, ze względu na ciebie, moja Wandziu.

— Dajże pokój.

— Zanadto wiele doznałam od ciebie dobroci i życzliwości.

— A cóż to ma za związek z Zygmuntem?

— Przecież to twój konkurent... i prawdopodobnie...

Wanda rozśmiała się głośno.

— Otóż słowo ci daję, że już nie. Porozumiałam się z nim ostatecznie, jak z kuzynem i przyjacielem od dziecka... z zamiarów swoich stanowczo zrezygnował i poświęcenie to nie przyszło mu z trudnością... dzięki tobie. Istotnie on mnie nigdy naprawdę nie kochał. Widzę to teraz jasno. Lubił on mnie i lubi dotychczas, ale tylko po bratersku. On nigdy nie patrzył na mnie takim wzrokiem, jak na ciebie, ty od pierwszego razu wywarłaś na nim wrażenie — i nie bądź dla niego okrutną, lepszego męża nie znajdziesz. Zygmunt jest bardzo dobry człowiek.

— Ale ty, Wandziu, wytłomacz mi, dla czego?

— Do czasu, to tajemnica.

— A odemnie żądasz bezwzględnej szczerości.

— Maniu, nie posądzaj mnie o skrytość, dowiesz się o wszystkim, ale nie teraz, nie dziś. Nie sądz, że mam zamiar zamknąć się w klasztorze, lub do końca życia być starą panną... Wprost przeciwnie... Serce moje wolne nie jest, dla tego też nie krępuj się względami, jeżeli Zygmunta kochasz... a przyznaj się, kochasz go.

— Ja nie wiem.

— Tak ci to trudno wymówić; więc powiedz przynajmniej, czy ci się podobał?

— Nie przeczę, podobał mi się istotnie.

— A ponieważ jest tobą zachwycony — więc wybornie, niech bywa u nas, niech się oświad-

cza i bądźcie szczęśliwi. Ja będę twoją druchną, nieprawdaż?

— Zdaje mi się, że myśleć o tem jeszcze zawczasie.

— Nic nie szkodzi, moja ty poważna sensatko; przecież i starzy, doświadczeni ludzie każą myśleć zawczasu o przyszłości. U ojca bywa pewien jegomość, wdowiec, zażywający tabakę i nadzwyczaj poważny. Ulubione jego wyrażenie jest: pamiętajcie zawsze o przyszłości; co macie zrobić jutro, dziś zróbcie... to zasada, to grunt.

— O czem panienki tak rozprawiają — zapytała pani Zofia, wchodząc.

— Ah, mamó, o bardzo poważnych przedmiotach — o przyszłości.

— Czyjej?

— A choćby tej eterycznej pani, dla której suknię wykończamy.

— Rzeczywiście, przedmiot poważny, ale przerwiecie robotę. Herbata będzie.

— I Zygmunt będzie, mamó—dodała Wanda.

— Widziałś go?

— Zdaje się, że niewielka sztuka widzieć tego, kto chce być widzianym... mile, prawda Maniu? Otóż właśnie ktoś dzwoni, to zapewne on, przynasz, że punktualność godna uznania.

— Niezupełnie, bo jak widzisz nie pan Zygmunt przyszedł, lecz Edzio.

Chłopiec ukłonił się i wprost do siostry przystąpił.

— Maniu — rzekł — chciałbym cię prosić, żebyś przyszła do domu.

— Mój Edziu, to nie sposób, mamy tyle roboty, każda chwila droga.

— A jednak trzeba, żebyś poszła — rzekł chłopiec tonem bardzo stanowczym; — miał przytem twarzyczkę tak smutną, że wszystkie panie przerażone, zasypały go gradem zapytań:

— Co się stało, czy zachorował kto w domu? czy jakie inne nieszczęście?

— Nic się nie stało — rzekł chłopiec — a może stało się coś, ale ja nie wiem. Ojciec powrócił do domu bardzo smutny, na nas ledwo spojrział, tylko poszedł z mamą do drugiego pokoju i coś szeptał do niej długo, chyba z kwadrans. Mama zaczęła płakać. Musiało się coś niedobrego stać. Chciałem zapytać ojca, ale odsunął mnie na bok i powiedział: Daj mi pokój, chłopcze, idź się uczyć. Wymknąłem się po cichu i pobiegłem tu do ciebie, Maniu. Może ty co poradzisz.

Jeszcze Edzio mówić nie skończył, gdy Mania była już w okryciu, do wyjścia gotowa.

— Pani mi wybacz — rzekła do pani Zofii — ale...

— Moje dziecko, idź, idź i daj nam zaraz znać co się stało, bo jesteśmy bardzo niespokojne. Przyślij karteczkę, dwa słowa przez Edzia... Ah Boże, co się tam mogło zrobić tak nagle!

Zygmunt zastał Wandę w pierwszym pokoju samą, bo matka pospieszyła do panien, do pracowni. Wanda powitała go przyjaznym uściskiem ręki.

— Siadaj, proszę, panie Zygmuncie, dobrze,

żeś pan przyszedł. Tak mi smutno, tak smutno, że wyrazić nie umiem.

— Cóż pani jest, jaki powód? — zapytał. — Przelotna chmurka, przyjdzie dobry wietrzyk i spędzi ją z czoła.

— Nie panie Zygmuncie, to nie chmurka, lecz chmura tak duża, że nietylko moje, ale i pańskie czoło zasepi!

— Przeraża mnie pani, panno Wando... proszę mówić jaśniej, pani wie, że do odgadywania szarad nie posiadam zdolności. Więc proszę o szczerłość. Mieliliśmy mieć wieczorek tańczący i nie będzie, ztąd zmartwienie? Czy tak?

— Ah, panie Zygmuncie, to nie o wieczorek chodzi; u Kwiatkowskich coś niedobrego się stało, a ja tak Manię Kocham.

Zygmunt nie mógł ukryć przerażenia, jakie się na jego twarzy malowało. Nie śmiał nawet pytać. Wanda w słowach dość niejasnych odpowiedziała mu o bytności Edzia.

— Obiecanej wiadomości nie ma — rzekła w końcu Wanda — ale już czekać nie będę, posłę Wicusia, niech się dowie.

Po kwadransie przyjaciel Edzia powrócił i wręczył Wandzie karteczkę, na której Mania nakreśliła pospiesznie: «Droga Wandziu, ojciec utracił posadę, jesteśmy bez środków do życia.»

— Biedni ludzie — rzekła z westchnieniem — przeczytaj, panie Zygmuncie

Młody człowiek rzucił okiem na kartkę.

— No, to jeszcze nie tak wielkie nieszczęście. Sądziłem, że jest gorzej.

— Nie nieszczęście? gdy rodzina pozbawiona została marnego kawałka chleba, to według pana nie nieszczęście?

— Zapewne, ale można na nie poradzić; znaleźć co dla pana Kwiatkowskiego i będzie po nieszczęściu.

— Ah, panie Zygmuncie, gdzie takiego dobrodzieja szukać?

— Znam kogoś co się weźmie do tej sprawy gorąco, nie będzie szczenił starań, poruszy i wyzyska wszelkie znajomości, stosunki i wogóle, jeżeli tak się można wyrazić, nie spocznie, dopóki nie osiągnie tego, co postanowił.

— Daj pan rękę, jesteś szlachetny człowiek, panie Zygmuncie, dziękuję ci.

— Przecież to obowiązek.

— Obowiązek... o bałamucie! znamy się na takich obowiązkach. Kochasz ją?

— Czym to kiedy powiedział?

— Ale sto razy powiedziałeś to oczami, westchnieniem, roztargnieniem, w jakieś wpadał bez żadnego powodu; to wcale nie potrzebuje opowiadania, bo się ukryć nie da. Tak, tak, mój kuzynku i dobry przyjacielu... Kochaj, staraj się o wzajemność i rób co możesz dla tych biednych ludzi.

— Wspomniała pani o wzajemności, otóż co do tego, ja szczęścia nie mam.

— Któż to panu powiedział?

— Te same usta, które mi pytanie zadały.

— Ja się nie liczę, zresztą gdyby nie to, to kto wie, czybyś dziś nie żałował pośpiechu; co do Mani zdaje mi się...

— Co się kuzynce zdaje?

— A! chciałbyś zaraz wszystko wiedzieć, do-
brodzieju, otóż co do Mani... ja wcale nie wiem,
co ona myśli, albo wiem, że bardzo niewiele...
Proszę nie robić takiej miny ponurej, bo nieładnie
panu z tem, nie do twarzy. No, no, panie Zyg-
muncie, doprawdy jestem ja lepsza, niż sobie wy-
obrażasz i powiem, że Mania patrzy na pana nie
bardzo złem okiem... Tylko nie tryumfuj pan
przedwcześnie, serce trzeba albo wstępnym bojem
zdobyć, albo długim szeregiem zasług sobie zje-
dnać. Ja, gdybym była mężczyzną, trzymałabym
się pierwszego systemu, zdaje mi się bowiem, że
jest lepszy.

— Czy z doświadczenia pani to mówi?

— Może... kto wie?

VII.

Na drugi dzień koło południa Kwiatkowski oczekiwał na audyencyę u pana naczelnika.

Była tam spora gromadka interesantów, każdy oczekiwał cierpliwie swej kolei. Pan naczelnik załatwiał się dziś z petentami bardzo szybko i był w fatalnym humorze. Do trzeciej w nocy grał w karty, dwa razy dostał wielkiego szlema, ze zmartwienia usnąć nie mógł, a raniutko o godzinie dziesiątej obudzono go z powodu jakiejś, w gruncie rzeczy nie bardzo ważnej depeszy, w dodatku pani naczelnikowa, której tego dnia dziwnie rozigrały się nerwy, zrobiła mu scenę małżeńską, zakończoną wybuchem gwałtownego płaczu i spazmami. Dzień to był jakiś fatalny, tyle nieszczęść naraz się zbiegło.

Gdy na Kwiatkowskiego kolej przyszła, wszedł do gabinetu i stanął wobec groźnego oblicza dygnitarza.

— Kto pan jesteś i czego potrzebujesz?

— Pan naczelnik nie przypomina sobie, jestem Kwiatkowski.

— To mi wszystko jedno, czego pan chcesz?

— Kilka miesięcy temu miałem zaszczyt zło-

żyć panu naczelnikowi moje papiery i list od hrabiego X,

— Więc cóż ztąd?

— Miałem obietnicę pana naczelnika i przyszedłem się dowiedzieć.

— Czego?

— Kiedy otrzymam przyrzeczoną posadę?

Dygnitarz rzucił się na krzesło.

— Proszę! Wyobrażasz pan sobie zapewne, że my nie mamy nic pilniejszego do roboty nad wyszukiwanie posad dla różnych zbankrutowanych indywiduów.

— Ośmielam się...

— Nic się pan nie ośmielaj. Zrobiłem dla pana bardzo dużo — jesteś na liście kandydatów. Jak się co trafi, zostaniesz pan zawiadomiony... a przedtem proszę mnie nie nachodzić.

Kiwnął głową na znak, że audyencya skończona. Biedny człowiek wyszedł jak oszołomiony. Teraz wiedział już, że niema się co łudzić i że trzeba znowu rozpocząć poszukiwania mozolne, trudne, upokarzające. Od czego zacząć, do kogo się udać? Czyby na świecie było istotnie tak ciasno, że dla uczciwego, chcącego pracować człowieka, miejsca niema...

Resztki mienia, jakie się dało w katastrofie majątkowej ocalić, są tak małe, że się za kilka miesięcy zupełnie wyczerpią: posada w składzie węgla, aczkolwiek licho płatna, dawała tyle jednak, że było można komorne zapłacić i jeszcze się coś na życie okroiło. Było to już coś a i to stracone... Dla czego?

Właściciel przyszedł jednego wieczoru i bez żadnych wstępów oświadczył wprost: — Panie Kwiatkowski, musimy się rozstać od pierwszego, niech pan sobie innego zajęcia poszuka.

— Z jakiego powodu, panie, czy zrobiłem jakie nadużycie?

Właściciel machnął ręką i rzekł warszawskim żargonem:

— Powód prosty jak drut. Bryndza, panie, bryndza... Niema z czego, pewnie wypadnie będę zamknąć.

Bryndza -- powód słuszny, trudno płacić komu, gdy niema z czego — ale zkadże ta «bryndza», nie zmieniło się nic, co dzień ludzie biorą tyle korcy węgla, ile brali dotychczas, a teraz...

Właściciel tłumaczył się jeszcze.

— Panie, — mówił — to nie tylko u mnie tak, wszędzie gips, na kufel piwonii nie zarobisz. Tu skład, obok skład, z tyłu skład, naprzeciwko skład, zbzikowali na węglach! Wypchać się tylko z takim interesem: ja tę będę albo komu wtrynię, albo jeżeli nikt się na nią niezłapie, puszcę ją w instrument. Byłem frajerem, ale teraz niema głupich. Szynk wezmę, to zupełnie co innego. Węgłe latem wcale nie idą, zimą idą marnie, a, panie kochany, alembik idzie cały rok, jak po mydle. Co tam panie, nie martw się pan; nie tu, to owdzie znajdziesz pan takie same przyczepienie. Co prawda, ja sam pana żałuję, jesteś uczciwy facet i nie chciałbym, żebyś mnie pan źle wspominał. Ot zamykajmy interes i chodźmy na kufelek.

Nie do kufelka było Kwiatkowskiemu, więc się wymawiać zaczął.

— Dziękuję panu, niezdrów jestem, może mi zaszkodzić.

— Zawracanie! cały dzień zdrów byłeś, a teraz niezdrów.

— Doprawdy...

— Chyba, że pan gardzisz. No chodźmy, bo, widzisz pan, że jestem taki, żebym z każdym chciał być dobrze.

Wziął Kwiatkowskiego pod ramię i prawie gwałtem do bawaryi pociągnął.

Usiedli w dusznej, zadymionej stancyi, niedaleko bilardu; łoskot bil, gwar wólpijanych gości i brzęczenie biednego grajka na starym jak świat, rozbitym fortepianie, czyniły ogromny hałas. Trudno było zwykłym głosem rozmawiać, każdy więc krzyczał prawie.

Po drugim kuflu węglarz się zarumienił, po czwartym zrobił się pąsowy na twarzy i ogromnie czuł.

— No jeszcze jeden — wołał — nasze kawalerskie! Dziś nam źle, jutro będzie dobrze... Hej panno, panienko! Wiesz, panie Kwiatkowski — dodał — ta dziewczyna jest tu 17-ty rok za panienkę, co ja pamiętam, a ile lat była, co ja nie pamiętam, może drugie 17! Wierna swojej gospodyni, bo wierna, jeszcze nigdy w życiu pełnego kufla nie naląła. Panie Kwiatkowski, wiesz pan, czasem człowiek nie chciałby czegoś zrobić, a musi i to wszystko przez bryndzę. Żebym miał nie-dużo, tysiąc, dwa tysiące rubli, to inaczejbym

śpiewał teraz, a tak... Dalibóg, że mi żal. Z pana dobry facet, ale zkad pan, u diabła, tego Hermana znasz?

— Przypadkiem, z cukierni.

— To szczególne, dalibóg szczególne!

— W czym mianowicie?

— Tak to wygląda, jakbyście z sobą beczkę soli zjedli.

— Z czego pan wnosisz?

— Dużoby o tem opowiadać; oj, panie, ładny mebel jest ten Herman, niejednego trzyma w kleszczach i jak zagra, tak trzeba skakać. Ładny kwiat!

— Pod jakim względem?

— O! pan zaraz chcesz, żeby wszystko wyłożyć jak na talerzu; dość że mebel jest ładny, powiadam, a kto się w jego łapki dostanie, ten cienko śpiewa.

Nic więcej nad to nie mógł się Kwiatkowski dowiedzieć; węglarz się upił i bezmyślnie jedno w kółko powtarzał, że Herman jest piękny mebel, że niema nic lepszego jak założyć bawaryę, i że zresztą wszystko bryndza i gips.

Po audyencyi u naczelnika, Kwiatkowski przez kilka godzin chodził po ulicach bez celu i zapewne bez świadomości. Sam nie wiedział, kiedy znalazł się w alejach Ujazdowskich i pomimo dojmującego zimna, czapkę zdjął, bo go w skroniach okrutnie paliło i doznawał takiego wrażenia, jakby mu kto czaszkę rozpaloną obręczą żelazną ścisnął. Chciałby zapłakać, a nie mógł, dławiło go coś w gardle.

Posiedział przez chwilę i znów się w stronę miasta skierował, szedł machinalnie, nie patrząc nawet przed siebie, pogrążony w myślach bardzo smutnych. Dreszcz nim wstrząsał.

Wstąpił do cukierni, by się szklanką herbaty pokrzepić i rozgrzać. Na zwykłym swoim miejscu siedział Herman i udając, że czyta gazetę, wszystkich przechodzących lustrował. Widział też doskonale i Kwiatkowskiego, ale go nie zaczepił. Zastawił się gazetą i udał, że z niezmiernem zajęciem czyta. Kwiatkowski zbliżył się do niego.

— Dzień dobry — rzekł.

— Dzień dobry, co pan o tej porze tu robisz?

— Jestem obecnie panem swego czasu.

— Ah, więc już się węgle skończyły?

— Od kilku dni straciłem posadę.

— Nic nie wiedziałem, no proszę! Poróżniliście się pewnie, szlachecka krew zagrała. O cóż wam poszło?

— Rozeszliśmy się bez sprzeczki w dobrej harmonii. Powodem są ciężkie czasy. Właściciel sam zajmować się będzie składem, dopóki go nie sprzeda, lub nie zwinie.

— Ja zawsze mówiłem, że to efemeryda. Istotnie chwilowe, tymczasowe, ale nie myślałem, żeby tak krótko. Cóż pan robisz teraz?

— Nic, mam zamiar się starać.

— Staraj się pan, staraj, życzę powodzenia.

— A panby nie mógł stosunkami swemi dopomódz mi w tem, bo co się tyczy kolei, to już wszystkie złudzenia straciłem.

— A cóż ja mogę, łaskawy panie, co ja mogę? Zresztą dałem dowody życzliwości, odrzucono je, natrętnym być mi nie wypada. To trudno, kochany panie, każdy człowiek ma swoją ambicję i miłość własną, więc i ja mam. Chciałem dla was dobrze: proponowałem panie Maryi tak dobre miejsce, że mogłaby całej rodzinie przyjść w pomoc. Odrzuciła. Wielka pani! w obowiązek iść nie wypada. Lepiej z głodu przymierać i ojcu ciężarem być. Teraz są dzieci! Kochane dzieci, wszystko na barki rodziców, samym się robić nie chce.

— Myli się pan, Mania jest bardzo dobra córka. Co zaś do miejsca, jakieś pan proponował, to inna rzecz. To chwilowe, a dziewczyna musi się nauczyć czegoś takiego, coby jej na całe życie utrzymanie dać mogło... więc też się uczyszycia i kroju.

— A to niechże wam co da ze swoich dochodów.

— Wiadomo panu dobrze, że ich niema.

— Ja na to nie poradzę, róbcie sobie państwo co chcecie. Trzeba było brać kiedy dawali i nie grymasić. Spojrzał na zegarek i szybko zerwał się z krzesła.

— Zagawędziłem się z panem — rzekł — a ktoś na mnie czeka. Spóźnię się o cały kwadrans, do widzenia... ale, ale — dodał, — miejsce, o którym mówiliśmy, znów wakuje podobno.

— Rządcastwo, — zawołał uradowany Kwiatkowski.

— Ależ nie, to miejsce dla pańskiej córki

Tak się zdaje przynajmniej. Jutro będę napewno wiedział. Jeżeli wola, dowiedz się pan pojutrze.

Człowiekowi, który pragnie pracować, a robić co nie ma, czas wydaje się ogromnie długim. Wlecze się w sposób nieznośny, godzina każda dniem, dzień rokiem się wydaje. W takim właśnie położeniu był Kwiatkowski; w domu siedzieć nie mógł, bo zdawało mu się, że czas na próżno trwoni; wyszedłszy na miasto, nie wiedział dokąd się udać i w którą stronę zwrócić. I znów sobie wyrzucał, że buty drze na próżno, że się włóczy i we włóczędztwie tej przyjemności szuka. W domu żona zchorowana i zmartwiona, pociechy żadnej i otuchy dać mu nie mogła. Mania całe dnie u pani Zofii przepędzała, Edzio przesiadywał wciąż w szkole, a dwoje dzieci młodszych bawiło się i hałasowało w najlepsze, nie mając pojęcia o tem, że za kilka miesięcy może zabraknąć tego warszawskiego chleba, który im tak bardzo smakuje.

Wyszedłszy na ulicę zazdrościł Kwiatkowski wszystkim, których spotkał: robotnikom spieszącym do fabryki, dorożkarzom, posłańcom, woźnikom piwowskim, piekarskim, rzeźnikom, nie mówiąc już o tych panach, co z tekami papierów pełnemi do biur i do sądów dążyli. Zazdrościł nawet stróżom, zamiatającym ulicę, ci bowiem wiedzieli przynajmniej, co przez cały dzień robić będą; wiedzieli, że od świtu do nocy robota ich czeka, że nawet i w nocy spać im nie dadzą, ale też nie mieli powodu kłopotać się o dach nad głową, o pożywienie i ubranie dla siebie i dzieci.

Dla czegożby i on sam nie mógł takim zostać, choćby jako posłaniec na rogu ulicy stanąć, przecież uczciwa praca nie hańbi, a skoro zdrowie służy, to nad czem się namyślać. Dowiedział się do kogo udać się trzeba, ile kaucyi złożyć i postanowił pójść zapisać się bezwzględnie. Tylko żona, czy jej to nie będzie zbyt przykre? Wstrzyma się jeszcze przez trzy dni, jedynie przez trzy dni, nie dłużej, jeżeli się w tym czasie coś trafi, dobrze, jeżeli nie — czekać nie sposób. Postanowił rozmówić się z Manią, ona prędzej matkę do tego przygotowuje, ona ją z koniecznością pogodzi. Właściwie o cóż idzie, o uprzedzenie, o przesąd...

Istotnie jest to przesąd.

Tylu ludzi przejeżdża, tylu przechodzi, roi się tego po ulicach, jak mrowia, a każdy biegnie, spieszy się i dzień dla takich przechodzi szybko, nawet się zbyt krótkim wydaje.

Szczęśliwi.

Wiedzą co robić z czasem i spokojni są o jutro.

W jednej ze swych wycieczek na miasto, spotkał Kwiatkowski węglarza.

Były pryncypał biegł zafrasowany, spieszył się. Ujrzawszy Kwiatkowskiego, nie mógł się od okrzyku radości powstrzymać.

— A to wybornie, że pana spotykam, masz pan trochę czasu?

— Wiadomo panu, że mam go aż za dużo.

— Panie! skręt na mnie taki, że mało nie zgine. Do magistratu mnie wzywają, węgle na kolei mam odebrać, weterynarza sprowadzić, bo

jednego z moich koni djabli biorą, a z ludzi został tylko parobek, ma się rozumieć sam, i naturalnie co utarguje, to utopi w własnej kieszeni, a potem w szynku na rogu, albo też odrazu w szynku, do kieszeni wcale nie kładąc. Znam ja panie tych łotrów, wszystko to jednej matki dzieci...

— A cóż ja na to poradzę?

— Właśnie pan... Zmiłuj się, panie Kwiatkowski, idź do składu, posiedź za mnie parę godzin, przypilnuj, poratuj, bardzo proszę.

— Ależ bez proszenia pójdę, — mam siedzieć z założonymi rękami, to lepiej, że się komu na coś przydam.

— Już ja wynagrodzę pańską fatygę.

— Bagatelna rzecz, mogę i przez grzeczność, nie żądając wynagrodzenia.

— Bo widzi pan, ten stary cygan nie przyszedł dziś wcale.

— O kim pan mówisz?

— Ah, ten pański przyjaciel, pan Herman. Podjął się z własnej woli, że będzie pana do czasu zastępował, ale jemu tak się chce siedzieć i pracować, jak mnie tańczyć... On woli geszefciki różne na mieście obrabiać.

— Cóż pan Herman ma do pańskiego składu? Nie rozumiem.

— Ah, nieszczęście, wołałbym go nigdy w życiu nie widzieć, dość że ma. Dużoby o tem mówić.

— No to idź pan, ja wyręcę.

— Dziękuję, dziękuję... Pojęcia nie masz, ja-

kie dziś ze wszystkich stron zawracanie. Łeb puchnie! Kiedyś pan tak dobry, idź zaraz; ja za dwie godziny, może nad wieczorem, ale przyjdę. Po zamknięciu budy wstąpimy na piwo i pogadamy, bo mam z panem do pomówienia... Muszę się wytłomaczyć, żebyś pan nie sądził, że ja jestem takim, jak się panu może zdawać.

— Ależ panie, przecież ja...

-- A nie, już ja wiem, co mówię. Do widzenia, do wieczora, a może i przed wieczorem zdążę, do widzenia.

Wsiadł do doróżki i odjechał. Kwiatkowski zaś pospieszył do składu, ucieszony, że choć jako tako resztę dnia zabije, że chociaż czemkolwiek czas będzie mógł zapełnić.

Mania chodziła wciąż do magazynu, Wanda i pani Zofia pocieszały ją, jak mogły, ale dziewczyna ciągle była przygnębiona i smutna. Wandę doprowadzało to do rozpacz.

-- Czemu się tak martwisz — mówiła — czy twoje łzy i westchnienia ulżą ojcu choć trochę, szkoda zdrowia twego i oczu, o których mówią, że są bardzo ładne.

— Co mi z tego.

— Zabawna dziewczyna, więc cię to nie cieszy, że się twoje oczy podobają?

— Wandziu, czy mi to w głowie? Cały świat mi niemiły. Żebyś ty widziała mego biednego ojca, ile on się nacierpi, ile namartwi! Ten człowiek snu nie zna, po całych nocach wzdycha tylko i jęczy — a matka... moja droga, co ta kobieta już łez wylała, opowiedzieć trudno. W naszym

domu smutek ciągły i rozpacz — i ty chcesz, żebym była wesoła.

— A ja ci mówię, nie trać nadziei, są jeszcze dobrzy ludzie.

— O tem nie wątpię. Jest twoja matka, zacna kobieta, jesteś ty, Wandziu.

— Ja... co tam ja?

— Jesteś dla mnie jak rodzona siostra, przyjaciółki bliższej i lepszej nie mam i mieć nie będę, ale też tylko wy dwie jesteście dla nas tak dobre. Prócz was, prawie nie znamy nikogo.

— Maniu, nie mów tak, są ludzie, nie... źle mówię, jest człowiek, któryby dla ciebie w ogień skoczył.

— Nie żartuj.

— Daję ci słowo, czy mam go wymienić?

— Nie trzeba.

— A więc wiesz i dla czego udajesz — moja Maniu?

VIII.

Zaczynał się marzec, najszkaradniejszy ze wszystkich miesięcy i łączył w sobie wszystkie przykrości zimy z nieprzyjemnościami wczesnej wiosny. Mróz, ślizgawica, śnieg ustępowały miejsce deszczowi, błotowi i znowuż po nich miejsce zajmowały. Miasto było zaszargane, brudne, posępne, przechodnie kulili się od zimna, śmiertelność wzrastała, rogi ulic zalepiane były żałobnymi kartami, a karawany uwijały się po mieście ciągle prawie, aby zabierać z podziemi kościelnych nowych dla Powązek lokatorów. Czas był wogóle przykry i przygnębiający. Spojrzawszy na ulicę z wyżyn trzeciego piętra, widząc masę rozpostartych parasoli i mgłę, zawieszoną w powietrzu, można było mniemać, że się widzi stado ogromnych nietoperzy, przebiegających miasto w rozmaitych kierunkach.

Ulice pokryte były warstwą ślizkiego, stężałego błota, drobny deszczyk padał i marzł na chodnikach, sterty wyrąbanego z rynsztoków lodu sterczały jak góry, dorożkarze podnosili budy swych

powozików, przechodnie otulali się w szale i podnosili kołnierze futer.

Rankiem przed godziną 8-mą pan Herman przechadzał się po ulicy Hożej w towarzystwie młodego, elegancko ubranego człowieka. Kołnierz od futrzanej algierki postawił do góry, z obawy, żeby nie być poznanym, na oczach miał szkła ciemniejsze jeszcze niż zazwyczaj, a przytem tak manewrował parasolem, żeby go ten nie od deszczu, lecz od spojrzeń niepożądanych osłaniał. Chodzili z kwadrans tam i napowrót po chodniku; młody zaczynał się niecierpliwić.

— Panie — rzekł — zdaje mi się, że mnie manisz, że to wszystko, co mi opowiedziałeś, jest wymysłem.

— Poczekajno pan jeszcze pięć, dziesięć minut, a wtenczas powiesz, czy mam słusność czy nie. Ona drogi innej nie ma, przechodzić tędy musi, zobaczysz i wtenczas przekonasz się, czy jestem znawcą czy nie...

— Pamiętaj pan, dziesięć minut najwyżej, do prawdy, dzika idea, żeby się zaziębiać — dla czego?

— O tem, potem, kochany panie, — i ja się także zaziębiam i narażam na katar, co w moim wieku ani przyjemne, ani nawet bezpieczne nie jest — a jednak narażam się.

— Zapewne bezinteresownie — rzekł młody człowiek z ironią.

— Ja myślę — odparł jegomość w okularach, — w każdym razie życie moje trochę więcej warte, aniżeli pańska łaska.

— Drogo się cenisz, panie Herman.

— Mogę pana zapewnić, że niżej «pari.»

— Zarozumialec!

— Uwaga! Patrz pan pilnie, osoba questionis wychodzi z tej bramy i uda się do tamtej o ośm kroków dalej. Ja idę w przeciwną stronę i oczekuję pana przez pięć minut.

Młody człowiek udał się we wskazanym kierunku, a po kilku chwilach powrócił.

— No — i cóż — zapytał Herman — prawdę mówiłem, czy skłamał?

— Panie — odrzekł młody — obawiam się, czy nie grozi nam trzęsienie ziemi, lub coś nadzwyczajnego, zaćmienie słońca, wybuch wulkanu...

— Ah! dla czego?

— Wyjątkowo, kochany Hermanku, powiedziałaś prawdę.

— Myli się pan. prawda powiedziała więcej, niż ja powiedzieć mogłem.

— I to racya. Jeżeli w przyszłości będziesz ciągle tak dalekim od kłamstwa, to możesz zdobyć sobie opinię wiarogodnego człowieka.

— Mniejsza o to, ale jakże?

— Prześliczna!

— Warta miejsca lektorki?

— Ja myślę.

— Ja już dawniej o tem myślałem.

— Chodzi tylko o to, czy zechce je przyjąć.

— Już moja w tem głowa.

— Czy nie zawiele na nią liczysz, panie Herman?

— Na głowę nie liczę, bo cóż głowa, jak głowa — projektuje, a wykonanie nie od niej zależy.

— Więc...

— Więc, panie łaskawy, liczę na nieoszacowanego w tych razach, a i we wszelkich zresztą, sprzymierzeńca, liczę na okoliczności.

— Ciekawym.

— Tam bieda jest, ciężka bieda... pannie obowiązek w smak nie idzie, ma inne plany. Z jej punktu widzenia bardzo piękne, ale to wszystko w łeb weźmie, bo ojciec zarobku, ani posady znaleźć nie może, resztki już dojada — i naturalnie, jak tonący brzytwy, będzie musiał tej ostatniej deski ocalenia się chwycić. Dziwni to są ludzie... dla tego trudniejsza z nimi sprawa. Mają różne przesady, uprzedzenia, grymasy różne, tak zwane zasady. Archeologia niepotrzebna i nie licująca wcale z kłopotami i brakiem kawałka chleba.

— No, tego za złe brać nie można.

— Wszystko za złe brać trzeba, co naszym zamiarom na przeszkodzie stoi.

— Wiesz co, panie Herman, wygłaszasz świetne sentencje... do jakiej szkoły filozofów należysz?

— Do praktyków; ludzie, którzy mnie bliżej znają, utrzymują, że jestem cynik, ale to nie prawda, ja jestem tylko prawdomówny i częściej zdejmuję maskę z twarzy, aniżeli inni, chociaż nie zdejmuję jej przed każdym. Z Kwiatkowskim komedję gram, bo mi tak trzeba, ale z panem jestem szczerzy. Pytasz pan do jakiej szkoły należę? Odpowiadam, że wierzę w rubla, bo, panie, rubel to klucz do wszystkiego. Trudno, chcę dobrze jeść, wygodnie mieszkać, dobrze się ubierać;

jeżeli kto tę sztukę potrafi bez rubla, to mu dam, jak biedny jestem... rubla.

— Pan dałbyś komu rubla?

— Dla czego nie? Takiemu dam z przyjemnością, bo naprzód wiem, że sztuki tej nie potrafi i nie dokaże, ryzyko więc z mojej strony jest bardzo małe, właściwie nawet nie ma żadnego, a skoro nie ma, to dla czego nie być hojnym. Właśnie trafia to w myśl moich zasad.

— Proszę, nie wiedziałem, że pan masz tak ugruntowane przekonania.

— Powtarzam panu, że jestem przedewszystkiem praktyk; żyję już na świecie dość długo, widziałem wiele, znałem ludzi moc, a to jest lepsza szkoła, niż owe, które patenta na mądrość udzielają. Uśmiechasz się pan złośliwie...

-- Zdaje się panu.

— Widzę doskonale, ale mniejsza o to... Wiem nawet dla czego się pan uśmiechasz.

— No?

— Myślisz sobie pan,' ten sprzedałby rodzowego brata... Nie probuj pan zaprzeczać, bo tak pan myślisz istotnie. Proszę pana, szczupak jest taka porządna ryba, jak dajmy na to, ja, albo ktoś inny, jest porządnym człowiekiem. Swoją drogą, szczupak zjada szczupaka, tak jak człowiek, przenośnie biorąc, zjada człowieka. Szczupakowi nie dziwimy się, a na człowieku wieszamy psy.

— No, przecież jest różnica.

— Za pozwoleniem pana, będę otwartym, czem my się właściwie różnimy od szczupaka, chyba tylko kształtem.

— No, proszę, mów pan tylko o sobie...

— Przepraszam, mówię o nas obu w tej chwili. Ja się podobieństwa nie zapieram i uznaję je — co do pana zaś...

— Nie masz pan prawa...

— Nie gonileś pan złotej rybki przed chwilą?

Młody człowiek zarumienił się i nie wiedział co odpowiedzieć.

— Widzi pan — mówił dalej stary — do serca tego brać niema co... my świata nie zmienimy i podobno nie zmienimy nas samych. W głąbokie, a ciężkie rozmyślenia wdawać się nie należy, gdyż prowadzą one do wniosków niekoniecznie przyjemnych. I po co zresztą? Pan jesteś młody, masz zdrowie, urodę, majątek, baw się więc i staraj, żeby ci było wesoło; ja jestem stary, lubię wygody, staram się przede wszystkim o pieniądze, które dają mi wygody, a zkad wezmę owe pieniądze, ztamtąd czy z owąd — co komu w to wchodzić — abym wziął...

— Stary cynik z pana.

— Myli się pan, jestem cynik, ale nie stary; wpierw byłem idealistą przez pewien czas, alem zbankrutował, potem byłem indyferentnym, potem takim, owakim, aż wreszcie tem, czem mnie pan widzisz. Ale dość tego; na co mamy tracić czas drogi, stojąc na takim zimnie. Przystąpmy lepiej do rzeczy. Co pan każesz, abym dalej czynił?

— A co się panu podoba! — odrzekł młody człowiek niechętnie.

— Oho, spuszczaemy z tonu... Cóż za powód?

-- Daj mi pan pokój, jestem zdenerwowany, odchodzę. Zobacz się pan ze mną kiedyindziej.

Rzekłszy to, kiwnął głową i szybko się oddalił.

Herman roześmiał się.

— Ha... zbudziło się w nim serce — mrucał do siebie — jacy oni wszyscy jednakowi. Robią łajdactwa, ale nie lubią, żeby sprawy ich właściwem mianem nazywano. Rozgniewał się o szczupaka... oburzył się... nic nie szkodzi? Za parę dni oburzenie przeminie i sam do mnie przyjdzie. Znam ja takich. Zakład trzymam, że jutro i pojutrze o tej samej godzinie będzie tu wydeptywał trotuary... Ha! ha! on nie jest szczupak.

Powlókł się do cukierni na zwykłe swe stanowisko obserwacyjne przy oknie. Patrzył na przechodzących, paląc cygaro i czytając gazetę.

W tym samym czasie przechodziła przez ulicę mała zgrabna osóbką; jedną ręką trzymała parasol, drugą unosiła cokolwiek sukienkę, co pozwalało widzieć drobne jej nóżki, obute w wysokie eleganckie buciki. Osóbką ta szła bardzo szybko, widocznie spieszyła, aby coprędzej dostać się do domu, bo przykry wiatr marcowy nie żartem szczypał jej białą, cokolwiek zarumienioną twarzyczkę.

O kilka kroków przed nią szedł młody człowiek w lekkim futrze, w kapeluszu, nasuniętym na oczy. Zamyślony był tak dalece, że nie zauważył, jak młoda osóbką zrównała się z nim i obejrzał się dopiero wtedy, gdy się odezwała do niego:

— Bierz pan parasol i podaj mi rękę, panie Zygmuncie.

— Ah, panna Wanda, dzień dobry... co panią wypędziło na ulicę podczas takiej niepogody?

— Sprawunki; odesłałam już do domu z dzieśnięć paczek, wydałam masę pieniędzy, a teraz powracam... Spodziewam się, że nie dasz mi pan dźwigać parasola i odprowadzisz do domu.

— Cóż za pytanie! Rad jestem, że mnie to szczęście spotyka.

— Pańskie szczęście jest od jakiegoś czasu niemożliwe.

— Co pani mówi?

— Wzdycha, jęczy, płacze, zmizerniała.

— Panna Marya?

— Przecie nie ja, ja nigdy nie wzdycham i nie płaczę, chociaż powodów do tego mam więcej, aniżeli wam się zdaje.

— Cóż to pani dolega?

Spojrzała mu wprost w oczy i uśmiechnęła się, pokazując drobne białe ząbki.

— Jakiś pan ciekawy?! alem ja do zwierzeń nie skłonna i nie powiem nic. Dla czego się pan o Manię nie pytasz?

— Życzyła pani sobie być odprowadzoną do samego domu...

— Więc?

— Odprowadzę i może mi będzie wolno odpocząć trochę u państwa.

— I Manię zobaczyć.

— Jeżeli jest widzialna...

— Wyborna myśl! Spieszmy więc, bo każda

chwila droga. Prawda, panie Zygmuncie? Zako-
chani mają zupełnie odrębne pojęcie o czasie;
kalendarze dla nich nie istnieją, zegary nie cho-
dzą — liczą czas na westchnienia, albo, co naj-
częściej, nie liczą go wcale. Panie Zygmuncie—
dodała, nagle przedmiot rozmowy zmieniając —
czy masz pan jakie widoki dla ojca Mani?

— Mam obietnicę bardzo poważną, ale trzeba
czekać.

— Jak długo?

— Może dwa, trzy miesiące.

— Ależ to świetnie! trzy miesiące, choćby
nawet i cztery, to nic, byle tylko była pewność.

— Powiadam pani, że obietnica pochodzi od
bardzo poważnego człowieka, który przyrzecze-
niami nie szafuje, ale skoro co powie, to święcie
dotrzyma.

— Czy mówiłeś pan o tem Mani?

— Nie.

— Nie pojmuję dla czego?

— Wie pani, że nie śmiałem, zdawało mi się,
że nie wypada, tem więcej, że to dopiero na-
dzieja. Wolałbym, żeby panna Marya dowie-
działa się wówczas, kiedy nadzieja stanie się fak-
tem. Doprawdy nie wypada.

— Nie wypada pocieszyć w zmartwieniu,
dziękuję za tego rodzaju etykietę!.. Co do mnie
nie uznaję jej zupełnie, a skoro pan nie chcesz,
ja Mani powiem; dość się biedaczka namartwiła,
niech ją choć jedna pomyślniejsza wiadomość
wzmocni na duchu i pokrzepi.

— Masz złote serce, kuzynko, — szepnął młody człowiek.

— Nie mogę patrzeć na jej przygnębienie. Nie sądź pan, że ona skarży się i żale rozwodzi, ale wiadomo mi doskonale, co się w ich domu dzieje. Tam bardzo już krucho, resztkami gonia. My z mamą wzięliśmy do wspólki trzecią część ćwiartki na loteryą i jak wygramy, dopomożemy Kwiatkowskiemu. To już napewno, a kto wie, czy nie wygramy, bo ja dopiero pierwszy raz próbuję szczęścia, a mama dwa razy trzymała po pół ćwiartki i dwa razy wygrała stawkę.

-- Nie wiedziałem, że mama pani taka szczęśliwa.

— A tak, szczęśliwa; raz na loteryi fantowej taki wachlarz wygrała, że można było za niego, zamknąwszy oczy, dać najmniej cztery ruble... i wogóle szczęśliwa, ma dobrego męża, nie zna niedostatku... Aj! trzymaj pan lepiej parasol, bo mi kapelusz zmoknie! a szkoda go, bo nowy, mam go dopiero na głowie trzeci, czy czwarty raz. Jeszcze panu zapomniałam o jednym powieździeć, ale to sekret, nie wygadaj się pan nieostrożnie.

— Umiem cudze tajemnice szanować.

— To nie jest tajemnica cudza, tylko Mani.. a nawet to wcale nie tajemnica, tylko niepotrzeba, żeby kto o niej wiedział... No, teraz przejdziemy na drugą stronę ulicy... Widzi pan tę panią w popielatym okryciu?

— Widzę.

— A wiesz pan co to za jedna ?

— Nie znam jej wcale.

— To jest nasze nieszczęście.

— Cóż ona paniom złego zrobiła?

— Ubiera się u nas.

— To właśnie dobrze.

— Dziękuję bardzo; grymasi, że trudno wytrzymać, figurę ma niemożliwą, a chce, żeby wyglądała w sukni jak najzgrabniejsza panienka. Właśnie przed nią uciekłam na drugą stronę ulicy, bo jak mnie zobaczy, gotowa sobie co przypomnieć i przyleci nas zamęczać.

— Miała mi pani powierzyć jakiś sekret...

— Właśnie, właśnie, przerwałam tylko z powodu tej jejmości... otóż u Kwiatkowskich bywa jakiś pan Herman, nieznośne dziadziśko, szkaradne i wynalazł dla Mani posadę...

— Posadę?

— Tak, lektorki czy towarzyszki u jakiejś schorowanej damy; podobno pensya dobra... Mania chęci nie ma i my odradzamy; zaczęła się u nas uczyć, niezadługo już będzie mogła mieć coś ze swej pracy, więc jakież cel przerywać! Jej rodzice także nie są za tem.

— Więc skoro wszyscy sobie nie życzą, któż zmusi?

— Jakto? Nie rozumiesz pan, bieda zmusi, konieczność. Jeżeli ojciec nie znajdzie zarobku, a resztki, jakie mają, zostaną wyczerpane... wtedy... ale do tego nie można na żaden sposób dopuścić.

— Słusznie pani mówi, nie można.

— Ale jak?

— Właśnie nad tem myślę... Co to za figura ten pan Herman?

— Zdaje mi się, że ojciec mój coś o nim wie... No, nareszcie jesteśmy, dziękuję panu za dźwiganie parasola. Chodźże pan, poczekasz trochę w saloniku, a ja zaanonsuję pana. Mama wspominała wczoraj o panu. Dziwiła się, żeś tak dawno nie był.

Po chwili Zygmunt siedział w tak zwanym saloniku i przeglądał album pełne fotografii, które już widział ze sto razy. Pani Zofia ukazała się niebawem.

— Ładnie — rzekła na powitanie — siłą trzeba pana sprawdzać.

— Mnie?

— Właśnie mówiła mi Wanda, że pana przyprowadziła przemocą.

— Przemoc polegała na bardzo miłym zaproszeniu.

Podczas gdy Zygmunt rozmawiał z panią Zofią, Wanda w pracowni, zdejmując kapelusz i rękawiczki, rozmawiając jednocześnie prawie o najrozmaitszych przedmiotach, rzucała Mani w trakcie tego różne półsłówka, które ją niezmiernie zajęły... Dziwny bo sposób rozmawiania miała ta Wanda.

— Wiesz Maniu, kogo spotkałam? Zgadnij, panią tę... jakże się nazywa!... tę co to na niej wszystko źle leży, ah, Boże, co to za sekutnica. Szłam z Zygmuntem i rozmawiałam o twoim ojcu.

— O moim ojcu?

— No tak. Bałam się, żeby ta jejmość nie

przyszła znów do nas. Podług mego zdania — powinien ją ubierać sztukator, oblepić gipsem i wymodelować figurę, bo ta, którą ma, jest niemożliwa... Czy nie prawda? Wolałabym robić stannik dla pieca, aniżeli dla niej, bo piec nie grymasiłby przynajmniej... Otóż powiedział Zygmunt, że dla twojego ojca ma obietnicę.

Mania zarumieniła się, jak wiśnia.

— Wandziu, co ty mówisz! — zawołała — czy to naprawdę? Powiedz mi.

Wanda pochyliła się do niej do ucha.

— Tylko proszę cię udawaj, że o niczem nie wiesz, bo Zygmunt wstydzi się przyznać do tego, że jakieś starania porobił. Nie dziękuj mu. Jest to obietnica, ale bardzo pewna. No przypatrz się tylko, co to za szkaradny materyał na mojej sukni, a mówiłam mamie, że nic nie wart. Trzy krople deszczu i już plama. Wszak plama?

— Plama, ale cóż pan Zygmunt?

— Nie wypierze się, próżna rzecz... a tak drogo kosztuje; pojęcia nie masz, jakie to oszukaństwo we wszystkim.

— Moja Wandziu...

— Trzeba będzie oddać do farby, tembardziej, że kolor ten jest niemożliwy.

— Ale...

— Nie cierpię tego koloru i drugi raz nie dam się na niego namówić, chyba, że będzie bardzo modny... Otóż Zygmunt powiada, że można liczyć na pewno, tylko trochę cierpliwości. Niedaj mu poznać, że wiesz, bo on taki dziecinny... Szkoda sukni, ktoby się spodziewał, że taka plamista.

Wiesz, w sobotę, żeby tam niewiem co, idziemy do teatru... grają «Halkę». Słyszałam ją już milion razy... no, może milion za dużo, ale pięć razy niezawodnie. Swoją drogą pójdziemy, niezmiernie lubię tę operę. Ty z nami, ma się rozumieć, Zygmunta zaraz namówię.

— Ja wcale nie mam intencji.

— Główna rzecz nie intencja, lecz bilet, ja funduję. Jestem ogromnie bogata; dostałam niedawno od mamy dziesięć rubli, kupiłam sobie woalkę, pudru, mydełko, ćwierć funta cukierków, a resztę mam. No, chodźmy teraz do mamy, bo on tam biedaczysko ciężko wzdycha. Śmieszni są ci zakochani!

— Wandziu — spytała Mania błagalnie — czy ty mi nic więcej nie powiesz?

— Powiedziałam przecież... Bądź spokojna, nie martw się i czekaj, on słowa dotrzyma.

Mania nie dziękowała Zygmuntowi słowami, ale uczyniła to spojrzeniem i uściskiem ręki, rozweseliła się i rozmawiała z nim więcej niż zwykle, a gdy odchodził, otrzymał znów przyjazny, wymowny uścisk ręki.

W chwili, gdy do zbolełego serca biednej dziewczyny wstępowała otucha i nadzieja, w domu ojciec i matka byli jak przybici. Pokazało się, że jest jakiś ktoś, co wszelkie starania paraliżuje.

Trafiał się już dwa razy obowiązek z dochodem niewielkim, lecz pewnym, już rzecz była prawie umówiona, tymczasem, ni ztąd ni zowąd, pracodawca umowę zrywał, wymawiał się, że projekt zmienił i odstępował od zamiaru, dając do

rozumienia, że potrzebuje człowieka, posiadającego poważne rekomendacje, lub sporą kaucję pieniężną. Nadzieja pryskała jak bańka mydlana i znów nastawały dni zwątpienia, niepewności, bezowocnych poszukiwań. Kwiatkowski był już blizki rozpacz. Obliczywszy wszystko co mu jeszcze pozostało i czem mógł rozporządzać, przyszedł do przekonania, że dłużej niż przez miesiąc, przy największej oszczędności domu nie utrzyma, że trzeba będzie chyba głodem przymierać, albo sprzedawać co jest jeszcze.

Matka Mani, chora, a nigdy dobrem nie odznaczała się zdrowiem, skarżyła się coraz więcej na upadek sił, na dotkliwy ból w boku i kaszel, trzeba było doktora co parę dni wzywać.

Na szczęście, mieszkał w tym domu lekarz, starowina, człowiek dość majątny, który więcej z przyzwyczajenia niż z potrzeby, praktyką się zajmował i ten chorą wziął w swoją opiekę. Pierwszy raz, gdy go wezwano, honorarium przyjął, a później, zobaczywszy że z biednymi ludźmi ma do czynienia, pieniędzy przyjmować nie chciał i co kilka dni do chorej przychodził. Swoją drogą, choć dzięki dobremu człowiekowi porada była bezpłatna, jednak kosztowała apteka, pożywniejsza dyeta, którą zalecano chorej, a w położeniu tych ludzi każdy grosz różnicę stanowił.

Właśnie Kwiatkowski i teraz po lekarstwo do apteki szedł powoli, z głową spuszczoną i usiłował odgadnąć, ile za nową receptę zapłaci i czy tem chociaż żonie pomoże. Szedł i nie spostrzegł, że go ktoś goni przyspieszonym krokiem, do-

piero gdy nazwisko jego wymieniono, obejrzał się. Gonił za nim dawny pracodawca, węglarz. Był ogromnie podniecony, policzki miał czerwone, oczy nabiegłe krwią. Kwiatkowski przeląkł się, ujrzawszy go w tak nienaturalnym stanie.

— Co panu jest? Co się z panem dzieje? — zapytał.

— Mnie nic — odrzekł — ale jego boli.

— Kogo?

— No, no, dostał, co mu się należało, sprawiłem mu takie mydło, że popamięta.

— O kim pan mówisz?

— Już nieraz ostrzegałem: przyjdiesz kiedyś na moje podwórko i przyszedł... Zaczął tak i owak, po swojemu; prędki jestem z natury, a przytem nie ułamek, wziąłem go w obroty. Sądem groził, skargami... Dobrze kochanku, skarż, ale gdzie świadkowie? On myśli, że ja taki jestem głupi, jak jemu się zdaje. Oj, co nie to nie! Wiedziałem ja dobrze, że parobek pojechał z węglami, a w kantorze i na podwórku żywego ducha nie ma.

— Zawsze pan jesteś prędki.

— Panie, aniolaby ręka zaświerzbiała, nie tylko człowieka. Właśnie tylko co powróciłem z przeciwka, byliśmy z moim jednym przyjacielem, no, gawęda o tem i owem, o kłopotach, jak zwykle. Czasy psie, ja się rozżaliłem, on się rozżalił, bo u każdego teraz bryndza... Wypiliśmy trochę — i potem nie zatrzymując się już nigdzie, poszedłem prosto do siebie, do kantoru. Siedzę, robię rachunki, wtem przychodzi źminda.

— Ale kto panie?

— A, no przecież Herman, jak mnie zacznie męczyć, dręczyć, piłować, straciłem cierpliwość...

— Cóż on może mieć do pana?

— Winien mu jestem kilkaset rubli; niby on sfaktorował mi tę pożyczkę, nastreczył i przysięgał, że cudze pieniądze daje, ale rzecz wiadoma, że to nie prawda. Jego własne; w Warszawie wiedzą, że on się tem trudni, a dla tego faktora udaje, żeby oprócz procentu jeszcze i faktorne wyłudzić. Dzielę się z nim każdym groszem, wynagradzam, opłacam, a ten jeszcze... Dziś już nie mogłem wytrzymać i sprawiłem mu mydło.

— Jak można? Stary człowiek.

— Młodszy on, niż nam się zdaje, a zresztą, choćbym tego nie wiem jak żałował, com już przylepił, odlepić się nie da. Sądami groził, mścić się będzie. Powiedział, że mnie zlicytuje, z budy wyrzuci. Niech go tam, niech robi co chce!

— Bardzo pana żałuję, choć i jego mi żal. Zdrowia dobrego on nie ma.

Węglarz zaczął się śmiać na cały głos.

— Pyszny z pana facet doprawdy—zawołał— przedziwny! Pan go żałujesz, a czy pan wiesz, dla czegośmy się rozstali...

— My?

— No, ja z panem.

— Z powodu złego stanu interesów. Sam pan to powiedziałeś.

— Zawracanie i nic więcej. Juściż interesa ciężkie są, ale pensyę regularnie płaciłem i byłbym płacił po dziś dzień. Mnie z panem źle nie było; mogłem spokojnie odejść, zabałamucić się

na mieście, bom wiedział, że mi grosz jeden nie zginie, że wszystko jest w porządku, a teraz tylko mam straty.

— W takim razie nie mogę pojąć, co pana skłonić mogło...

— A widzisz pan, że mogło. Herman nie pozwolił i dość. Ja jestem w jego rękach, więc słuchać muszę. Powiedział, że mu na tem dużo zależy, że takie jest jego życzenie i rób co chcesz! Przedstawiałem, ale nawet słuchać nie chciał. Teraz co innego; niechno z nim skończę tylko, zabieram pana napowrót i dopóki będę będę trzymał, nie puszcę.

— Z tego co pan mówisz, wnoszę, że nieprędko się pan wypłacisz, suma spora.

— Albo nieprędko, albo i bardzo prędko, właśnie dziś zacznę za tem chodzić, może się uda, a jeżeli w Warszawie nic nie wskóram, to jadę na prowincję. Mam ja ciotkę, skąpa baba ogromnie, ale może z niej co wycisnę. Zarazbym Hermanowi zapłacił i odetchnęlibyśmy spokojnie, ma się rozumieć i ja i pan.

— Daj Boże — rzekł z westchnieniem Kwiatkowski.

— Wie pan — zawołał węglarz — ja się już namyśliłem. Po co mam tu starania robić, pojedę wieczornym pociągami, a całą budę zostawię na pańskiej opiece. Zdaje mi się, że ciotka się wzruszy. Zabawię tam dwa, może trzy dni. No daj pan rękę na zgodę, bądź moim zastępcą tymczasem.

Dobre i parę dni — pomyślał Kwiatkowski i przystał na propozycję.

Herman przybiegłszy do domu, przedewszystkiem rzucił się na sofę i leżał przez czas jakiś, aby odpocząć po zmęczeniu i doznanych wrażeniach; bolało go trochę ramię, na które dwukrotnie spadła ciężka pięść węglarza, ale wogóle bardzo poturbowany nie był, gdyż widząc na co się zanosz, ratował się ucieczką.

— Łotr, łotr, — powtarzał — awanturnik, pijaczyna! Po trzeźwemu nie śmiałyby na mnie ręki podnieść. Swoją drogą zapłacę mu za to; wekslesek jest... o jest, leży w biurku, w szufladzie z prawej strony, niepomięty, zachowany z troskliwością i poszanowaniem. Ja takie dokumenty cenię, wartość ich znam. Czekajże paniczu, teraz zaczniemy tańczyć. Powiada, żem go obdarł! Com obdarł? Kapaniną po rubelku, po dwa! Kapitał się jeszcze całkiem nie zwrócił, a pożyczka z przed dwóch lat datuje.

Wydobył książeczkę, zapisaną cyframi, włożył okulary i sumował.

— Piętnaście, dwadzieścia, sto, dwieście, dwieście pięćdziesiąt — jednak nazbierało się. Jutro pozwę... Dlaczego jutro? Dziś lepiej — nie już za późno, szkoda!

Zamknął szufladę, usiadł przy oknie, fajkę zapalił i myślał. Niedługo miał już plan gotowy. Znajomy pokątny doradzca, za małe pieniądze, podejmie się rzecz całą z szykanami wszelkimi przeprowadzić.

IX.

Długo nie było widać węglarza z powrotem; miał zabawić u ciotki dzień jeden, najwyżej dwa, tymczasem tydzień upłynął, a on jeszcze nie wracał. Kwiatkowski zastępował go we wszystkim, sprzedawał węgle, brał pieniądze, sprowadzał nowe transporty z kolei i wszystko szło dobrze, bez hałasu, w porządku.

Jednego dnia, gdy siedział jak zwykle w tak zwanym kantorze, ujrzał jak z bramy na podwórko z ostrożnością wychylił się Herman. Widział, że rozmawiał ze stróżem, potem z parobkiem rozwożącym węgle i widać, że informacje otrzymał pomyślne, gdyż podniósł głowę do góry i pewnym krokiem wszedł do składu.

Ujrawszy Kwiatkowskiego, udał zdumienie.

— Kochanego pana tu spotykam — zawołał — co za szczęśliwe zdarzenie... Co pan tu robisz? Czy wróciłeś na dawne stanowisko?

— Zastępuję czasowo nieobecnego właściciela.

— Czy chory jest?

— Wyjechał na prowincję.

— Proszę! anim się tego spodziewał.

Wiedział doskonale, że węglarza niema, bo się wypytywał przedtem stróża i parobka. Inaczej nie byłby się odważył wejść. Przyszedł, aby zobaczyć, czy jest duży zapas węgla i dowiedzieć się o której godzinie konie i wozy są na miejscu, chciał bowiem zrobić zajęcie.

Kwiatkowski, udając, że się niczego nie domyśla, krzesło mu podał.

— Co pana sprowadza do nas?

— Nic, kochany panie, przechodząc, chciałem się dowiedzieć o zdrowie...

— Panowie zawsze w stosunkach przyjaźni?

— A jakże, zawsze jednakowo... szczerze to powiadam; nawet gdyby do pana doszły jakieś plotki, nie wierz im.

— Jakieżby znów?

— Tak, niechętni mówią, żeśmy się poróżnili, ale to nieprawda. Ciężka niezgoda pomiędzy nami nie powstała. Powiedz mi z łaski swojej, kochany panie Kwiatkowski, co go tak nagle zmusiło do wyjazdu?

— Interes pilny.

— Nie mówił jaki mianowicie?

— Owszem, mówił, że go czeka sprawa z jakimś lichwiarzem z pod ciemnej gwiazdy, łotrem, który w formie procentów odebrawszy już prawie cały kapitał, teraz ponownie wyzyskiwać go pragnie.

— To w samej rzeczy przykre.

— To oburzające, panie — rzekł Kwiatkowski, — ja gdybym miał do czynienia z takim to...

— To cóżbyś pan zrobił?

— Nie wiem co, ale...

— To jeszcze nie wiele... Ostatecznie cóż on poradzi?

— Ma nadzieję, że przywiezie pieniędzy i zapłaci...

— Według mego zdania, najrozumniej postąpi; w takich razach innego środka nie ma.

Kwiatkowski nic nie odpowiedział; przez jakiś czas milczenie trwało, Herman palił cygaro i wodził oczami po kątach.

— Jakże tu idzie teraz? — zapytał po chwili.

— Bardzo źle — odrzekł Kwiatkowski — fatalnie, kupujących prawie niema. Konkurencya ogromna.

— Ale zawsze zapasy znaczne macie?

— Zkąd? może kilkanaście korcy... Właściciel wyprzedaje się zupełnie i skład zwija.

— Od kiedy? — zapytał zaniepokojony Herman.

— W tych dniach, po powrocie może, może dziś jeszcze, jeżeli wrócić zdąży...

— To nie może być; przecież są konie i wozy.

— Już nie nasze.

— Jakto nie wasze?

— Sprzedane. Przed samym wyjazdem musiał je sprzedać... Niemógł inaczej. Nabył żyd z Grzybowa i tymczasem wynajmuje je nam po trzy ruble dziennie.

— A niech go licho porwie! — zawołał oburzony Herman, — tegom się nie spodziewałem!

— Rzeczywiście, mógłby brać trochę taniej; to jest ogromnie drogo. Jakże szanownego pana zdrowie?

— W takich tarapatkach, panie, koń straciłby zdrowie, nie tylko człowiek.

— No, przecież ten, którego zastępuję w tej chwili w gorszych się opałach znajduje, a jednak zdrowia nie stracił. Wygląda doskonale, humor ma dobry... Jabym tego nie potrafił, zamartwiłbym się na śmierć, a on nie bierze do serca, owszem wesół jest..!

— Cóż go u licha tak cieszy?

— Powiada, że z tym lichwiarzem, który go gnębi, obrachunek robi.

— Rzecz prosta, interesa pieniężne zazwyczaj obrachunkiem się kończą, ale przecież to nie powód do radości.

— Kiedy on inaczej to rozumie. On powiada, że jak swego wierzyciela spotka, to nie pytając, czy to plac, czy ulica, czy na osobności, czy wobec tysiąca ludzi, zbije go na kwaśne jabłko. Ja mu odradzam, ale on jest do tego stopnia zawzięty, że słuchać nie chce... Wie pan co — dał po chwili — pan jego dawnym przyjacielem jesteś, on ma do pana zaufanie...

— Więc cóż ztąd?

— Wyperswaduj mu pan, żeby tego nie czynił... po co się człowiek ma narażać, wszak prawda?

— No, zapewne, ale ja się w te sprawy mieszać nie chcę, niech postąpi jak mu się podoba. Nawarzy piwa, to je musi sam wypić. Powiedzże mi pan, kiedy on wraca?

Kwiatkowski spojrział na zegarek.

— Zdaje się, że dziś — odrzekł — nie twierdzę

tego na pewno, ale tak myślę... pociąg przychodzi o wpół do czwartej, teraz już czwarta dochodzi, jeżeli wrócił do Warszawy, to za dziesięć minut może tu być.

Herman za kapelusz wzięł.

— Bądź pan zdrów — rzekł.

— Poczekaj pan, chwileczkę tylko — prosił Kwiatkowski — ja osobiście mam do pana interes. Trzy słowa.

— Nie, panie, kiedyindziej, właśnie przypomniałem sobie, że na mnie czekają... spieszę, do widzenia.

Wybiegł tak szybko, jakby był conajmniej o trzydzieści lat młodszym.

Kwiatkowski rozśmiał się szczerze; może po raz pierwszy od czasu przybycia do Warszawy miał chwilę prawdziwej wesołości.

— Dobrze mu tak — szepnął — niech chociaż trochę strachu użyje.

Herman tymczasem biegł szybko przez ulice, przez które węglarzowi droga z dworca kolejowego wypadać nie mogła. Nie miał wcale chęci spotkać się z awanturnikiem, który lubi przemawiać w sposób zanadto dobitny.

Kwiatkowski mówił, jak gdyby przeczuł, że węglarz zaraz powróci, gdyż może w kwadrans po odejściu Hermana przyjechał dorożką.

Wpadł do składu, jak bomba i nie witając się z Kwiatkowskim, zawołał:

— Jest co drobnych?

Kwiatkowski otworzył szufladę, węglarz wzięł

garstkę i dorożkarzowi je zaniósł; powróciwszy rzucił się na wytartą zniszczoną kanapę i milczał. Po upływie dziesięciu minut dopiero, zerwał się nagle i przed Kwiatkowskim stanął.

— Nie pytasz mnie pan o podróż — rzekł.

— Widzę, że jesteś pan wzburzony i czekam aż się uspokoisz.

— Przedziwne usposobienie, a jednak mam przekonanie, że pan życzliwy mi jesteś.

— O niezawodnie... Właśnie radbym bardzo wiedzieć, jak się udało z ciotką?

— Taką ciotkę tylko na parawan przylepić, szkoda drogi i zachodu!

— Nie chciała dać pieniędzy?

— Ale owszem, chciała z całego serca... Prosiła, żebym wziął ile tylko potrzeba.

— A więc?

— I złość bierze i śmiech, jak o tem pomyśle. Straciłem tydzień czasu napróżno i co tylko miałem, tom wydał. Dość, że mi na dorożkę zabrakło, a bilet na kolej za pożyczane pieniądze kupiłem. Żadny interes... co? Żebym był wiedział, omijałbym tamte miejsca o sto mil. Wyobraź pan sobie, tydzień temu wyjechałem z Warszawy; bardzo pięknie, na drugi dzień byłem na miejscu. Miasteczko, jak miasteczko, kury chodzą po rynku, żydów zatrzesienie. Ciotka na uboczku mieszka, ma swój domek z ogrodami, porządna posesyjka. Dochód z tego prawie żaden, ale mieszkanie darmo, warzywa, owoce, krówkę można utrzymać. Prócz tego ciotka miała kilka

tysięcy rubli, wiedziałem, że miała, bo mi nieraz o tem mówiła. Trzymała ten kapitalik w listach zastawnych, w domu.

— I pewnie ją okradli?

— Ale, żeby okradli, możnaby gonić złodzieja, śledzić go. Numery listów były wynotowane, wszystko byłoby pół biedy, ale co innego zaszło. Kochana ciotunia jest wdowa; kobieta nie młoda, ale tęga, czerwona na twarzy, i jak się ustroi, wykryguje to jeszcze ujdzie. Wyobraźże pan sobie, przyjeżdżam, idę wprost do ciotki, patrzę najpierw przez okno, a ta siedzi przy stole w perkalikowym szlafroku, kawę pije, chleb z masłem je i tak przy tem płacze, jak gdyby ją największe nieszczęście spotkało. Wbiegam do pokoju, a ta jeszcze bardziej w płacz; przełknęła nareszcie chleb, otarła usta serwetą i zaczyna do mnie z czułościami; a najdroższy Franeczku, a to, a owo. Bóg cię tu chyba zesłał, ja sama, ja opuszczona! Ma się rozumieć, ja ciotkę w rękę raz, drugi, trzeci, powiadam, że także jestem opuszczony, biedny i pieniędzy mi potrzeba i właśnie po to przyjechałem do ciotki, ma się rozumieć, jak w dym.

Myślałem, że mnie zaraz z miejsca powie, że bym wracał z kąd przyszedłem, ale przeciwnie, zrobiła słodką minkę i powiada: Franusiu kochany, nikomubym tego nie zrobiła, ale tobie odmówić nie mogę; dam ci ile chcesz, ile będziesz potrzebował. O! myślę sobie, dobra nasza, mogę drwić z Hermana i jego pogrózek i zaraz kombinowałem sobie tak: miałem prosić ciotkę o pięć-

set, co mi to szkodzi, poproszę o tysiąc, kiedy taka dobra to trzeba korzystać. Podziękowałem, ona zaprasza na kawę.

Bardzo dobrze; naląła mnie szklankę, sobie drugą, chleb był wyborny, masło świeże, jemy więc, pijemy, ja wzdycham, a jej łzy płyną po twarzy. Co to jest, pytać nie śmiem, może sama wyjaśni. Po kawie zaczyna kochana ciotunia ogródkiem, zdaleka, że czuje się bardzo opuszczoną, samotną, że jej się samej jednej przykrzy, że nie jest jeszcze stara, że ma prawo do szczęścia, że z pierwszym mężem niebardzo jej było rozkosznie.

— Aha... za mąż poszła.

— Niezupełnie, ale czekaj pan. Opowiada dalej, że pod miasteczkiem jest folwark niewielki, że go dzierżawi niejaki pan Wincenty, też wdowiec, bardzo porządny człowiek, bardzo dobry gospodarz, że się do niej przywiązał, ona do niego także — no i że ma być wesele. Nie wypadało się skrzywić, owszem, trzeba było okazać radość. Winszuję więc.

— I jaby to samo zrobił na pańskim miejscu.

— Ciekawym cobyś pan zrobił dalej? Ja jej winszuję, jak komu dobremu, a ta jak skoczy, jak zacznie na mnie krzyczeć: a ty taki, owaki, takiśty siostrzeniec, taki kuzyn! Myślałem, że mi oczy wydrapie.

— Czy pomięszania zmysłów dostała?

— I ja tak sądziłem z początku, ale wyjaśniło się, że nie. Więc wołała: tego mi winszujesz, że on mnie opuścił, że nie wiem gdzie się

obraca, że powierzyłam mu swój grosz wdowi. Ja się tłumaczę: ciociu, zkądże ja o tem mogłem wiedzieć, dopieroco przyjechałem, nie widzieliśmy się tak dawno. Przecież się uspokoiła. Do obiadu i po obiedzie, do samego wieczora płakała, opowiadała, jadła, bo apetyt jakoś jej służył i znowu płakała. Koniec końcem, mogłem przecie wymiarkować, co się stało.

— Oszust jakiś widocznie.

— Kawalarz! Nie był to dzierżawca, tylko subdzierżawca, inwentarz miał zajęty przez właściciela, lada dzień wyrzucić go mieli i wziął ciotkę na małżeństwo, jak rybę na wędkę. — Zwyczajna historia. Piszczął, że nie ma dzierżawy czem zapłacić, że się potrzebuje urządzić, ta mu dała listy do zmiany, a on drapnął. Więc ciotka do mnie w prośbę, żebym go dogonił, pieniądze odebrał, a jak odbiorę, żebym sobie wziął z nich, ile mi potrzeba.

— I goniłeś go pan?

— A jakże, tego samego dnia zasiągnąłem wiadomości od żydów i puściłem się w pogoń. Nie tyle dla siebie to robiłem, ile dla ciotki. Nie szczydziłem pieniędzy, ani fatygi. Chłop się dobrze urządził, nie uciekał koleją, ale zwykłą drogą, od wioski do wioski ku granicy, ja za nim wciąż.

Na granicy dowiedziałem się, że przejechał bez trudności, miał formalny paszport, więc go nikt nie zatrzymywał. No i na tem się moje poszukiwania skończyły. Dałem znać do policyi, ale kto go złapie? Przycupnie gdzie w jakim zakątku i będzie siedział spokojnie. Powróciłem

z próżnemi rękami, wyczerpawszy się prawie co do grosza, bom na furmanki nie żałował.

— No, to miałeś pan twardy orzech do zgryzienia.

— A widzisz pan, tak to z kobietami, zdaje się, że ciotka, solidna kobieta, o głupstwach żadnych nie myśli; skąpi, grosz do grosza ciuła, pieniądze zbiera, ma się rozumieć dla kogoż, dla familii, dla siostrzeńca, a tu naraz masz! Przychodzi jakiś obieżyświat, obcy zupełnie, bierze babę na romans, pieniądze wyłudza i...

— Zdaje się, że to już bezpowrotnie stracone?

— Hm... albo ja wiem, wogóle trudno gonić wiatr w polu, ale ciotce pozostał domek z ogrodem, gospodarstwo i trochę zagonów w polu... Amator na to się znajdzie.

— Czyż ciotka pańska ma zamiar to sprzedać?

— Koniecznie. Powiada, że sprzeda to natychmiast za byleco. Mówi: skompromitowana jestem, wszyscy się śmieją ze mnie, wytykają palcami i mają rację. Juścić zabawnie wygląda, jak kobieta w jej wieku za męża się wybiera, a jeszcze zabawniej, jak narzeczony od niej, obłowiwszy się pieniędzmi, ucieka. W każdym razie sprawa przykra — ciotka rozpacza, mówi, że jeszcze jak świat światem, żadnej kobiety z domu Rymszów taki despekt nie spotkał.

— Alboż ciotka pańska Rymszówna?

— A tak, Rymszówna, po mężu Krowicka.

— Co u licha! jakże jej na imię, może Helena?

— Jakbyś pan wiedział, że Helena... Czy ją pan znasz?

— Czy znam, przecież to moja kuzynka, matka moja była blisko spokrewniona z Rymszami, a tę panią Helenę, ja znałem dobrze, lat temu ze dwadzieścia pięć, panną jeszcze była wówczas, wysoka, brunetka, przystojna.

— Tak, tak, wysoka ona jeszcze i dziś jest, ale już nie bardzo przystojna i nie bardzo brunetka. W południe jeszcze jej się warkocze czernią, jak je wyszuwaksuje; ale rankiem, jak ja ją widziałem w zaniedbaniu i w zmartwieniu, ma siwych włosów przynajmniej połowę. No, no, anim się spodziewał, że to pańska kuzynka i że takim sposobem ja także kuzyn pański jestem. Nie darmo też coś mnie zawsze do pana ciągnęło, miałem do pana sympatyę i żeby nie ten cygan, bylibyśmy sobie żyli w przyjaźni i zgodzie, jak Pan Bóg przykazał.

— No stało się, kochany panie, niema o czem mówić — przy pomocy Boskiej, może się i dla mnie coś znajdzie — a pan przede wszystkim powinieś o sobie myśleć i ratować się.

— Zawsze byłeś dobry facet, jesteś i takim pewnie zginiesz, kochany panie kuzynie — rzekł węglarz, biorąc Kwiatkowskiego za rękę, — z takim żyć można, ale nie bój się, będziemy jeszcze handlowali i pracowali razem. Herman niech nie tryumfuje, może mnie ugryźć tymczasem, ale nie zje, takich ostrych zębów dotychczas nie posiada.

— Czy pan masz jakie widoki?

— Niby mam. Ciotka powiedziała, że swoją posesyę sprzeda, i sprzeda, bo jej tam w mia-

steczku istotnie przykro. Sprzedawszy, weźmie pieniądze i sprowadzi się do Warszawy, założymy duży skład, co się nazywa duży, do spółki. Co pan o tem myśli?

— Dobrzeby to było.

— Ma się rozumieć, pan będziesz magazynierem, kasyerem, całym gospodarzem, a ja na miesiąc znów, jak wypadnie na kolej pójść — pójdę, o gospody się postarać, to postaram, wszystko zrobię, jak należy, porządnie.

— Wszelako trzeba na to czekać.

— Czekać albo nie czekać... ciotce pilno, ona wszystkie sprężyny poruszy, żeby przyspieszyć sprzedaż. No, co pan dziś wieczorem robisz?

— Jak zwykle do domu pójdę.

— Hm... szczęśliwy z pana człowiek.

— Dla czego?

— Masz pan dom; ja bo sam jestem, samotnik.

— A dla czegoż pan do nas nie zajrzy. Wystawnie gości przyjmować nie mamy czem, ale zapraszamy szczerze; chleb z solą a z dobrą wolą, czem chata bogata, tem rada. Teraz tembardziej, skoro się wykryło, że skuzynowani jesteśmy, trzeba żebyś pan rodzinę moją poznał.

— Dobrze, z przyjemnością przyjdę kiedy.

— Pocóż odkładać, przyjdź pan dziś.

Węglarz chwilkę pomyślał i rzekł:

— No to dobrze, korzystam z zaproszenia i przyjdę około ósmej.

Zapłacił Kwiatkowskiemu za tydzień zastępstwa i prosił, żeby nazajutrz też przyszedł.

— Bo widzisz pan — mówił — ja lataniny tyle

mam, interesów tak dużo, że wątpię, czy będę mógł pokazać się tu jutro, więc jako dla życzliwego, dla kuzyna... nie odmów mi pan tego.

Nie odmówił biedny człowiek, gotów był nawet darmo pracować, byle tylko nie siedzieć bezczynnie, a ten go prosi: nie odmów...

Wieczorem, po zamknięciu składu, Kwiatkowski pospieszył do domu, aby żonę uprzedzić, że gość będzie. Mania tylko co z magazynu wróciła, lecz nie rozmawiała wiele z matką, nie zapytywała Edzia o lekcye, tylko sama sobą była zajęta. Poprawiła włosy i zmieniła suknię. Ponieważ ojciec uprzedził, że gość przyjdzie, przeto przygotowania Mani nikogo nie dziwiły.

Edzio tylko uśmiechał się nieznacznie, ale gdy siostra spojrzała na niego, pochylił głowę nad książką i męczył dalej łacinę, na bułki od czasu do czasu zerkając.

Biedny Edzio, tych bułek tak dobrych, takich smacznych dawano mu coraz mniej, właśnie kiedy mu się apetyt z każdym dniem powiększał. Gdy czasem dostał kilka groszy na drugie śniadanie, to nie szedł za przykładem innych kolegów, nie kupował groszowych cukierków, ani jabłek, lecz kawał chleba, bo nie dbał wcale o jakość pożywienia, chodziło mu o ilość. Czasem trafiała mu się wyjątkowa sposobność zaspokojenia apetytu i zdarzało się, że któryś kolega prosił go o pomoc przy rozwiązaniu zadania, a od tego się Edzio nigdy nie wymawiał, pomagał ile mógł jak najchętniej, a kolega za to fundował trzy bułki, czasem cztery, czasem tylko

jedną, ale z serdelkiem... stosownie do tego, jakimi trudnościami najeżone było zadanie.

Takie dni Edzio do wyjątkowych zaliczał i zawsze pragnął, ażeby nauczyciel arytmetyki najtrudniejsze zagadnienia zadawał.

Potrzebnym mu był taki dochód, bo w domu matka coraz bardziej skąpiła. Od czasu przeniesienia się do Warszawy taka zmiana w niej zaszła; na wsi nie żałowała masła, tu chleb na najdrobniejsze kromeczki rozdzielala.

Skąpstwo matki wzrastało z każdym dniem i gdyby jednak Edzio pilniej obserwował, byłby zauważył niezawodnie, że matka i Mania wcale bułek nie jadły, żywiły się tylko chlebem i to bardzo oszczędnie. Nie mówiąc już o Edziu, ale każde z mniejszych dzieci jadło więcej, aniżeli matka i Mania razem. Z niezmierną też oszczędnością opalano mieszkanie, a matka tak wydzielala węgle do pieca, jakby coś bardzo osobliwego i bardzo kosztownego.

Wobec takiej oszczędności goście nie bardzo byli w tym domu pożądani, to też prawie nie bywali. Czasem zajrzała pani Zofia z Wandą, częściej sama Wanda, lecz zawsze na krótko i nie w porze herbaty, niekiedy przychodził Herman, a dwa razy był Zygmunt.

Dla tego matka wyjątkowo była uprzejmą, zapewne bowiem od pani Zofii otrzymała jakieś informacye. W takim ciężkiem położeniu materialnem wydać córkę za mąż, za człowieka, mającego utrzymanie i jakie takie stanowisko, było dla biednej kobiety szczytem marzeń. Przyj-

mowała też Zygmunta bardzo serdecznie i zapraszała, żeby częstym gościem był.

Kwiatkowski oddał żonie zarobione pieniądze, była też tego wieczoru mniej skrępowaną, niż zwykle.

O godzinie 8-ej ktoś zadzwonił. Mania zarumieniła się jak wisienka, na twarzy miała uśmiech, który wszakże zniknął zaraz na widok wchodzącego jegomości, nieznanego jej zupełnie. Był to mężczyzna krępy, czerwony na twarzy, dość korpulentny, ubrany bardzo starannie, nawet elegancko, tak, że sam Kwiatkowski na pierwszy rzut oka, nie poznał swego byłego pryncypała.

Przedstawiony jako kuzyn, węglarz zaczął opowiadać całą historję o ciotce, starając się jednak używać wyrażen jaknajmniej szorstkich; w towarzystwie kobiecem krępował się, był jakby zażenowany.

W pół godziny po nim przyszedł Zygmunt. Nie spodziewał się, że zastanie kogo obcego, a jak każdy zakochany obawiał się, że ma przed sobą rywala, lecz jedno spojrzenie Mani rozproszyło jego obawy.

Ci państwo doskonale porozumiewali się wzrokiem, aczkolwiek słowami nie powiedzieli jeszcze zbyt wiele. Mania o skłonności Zygmunta wiedziała tylko od Wandy, on też tą samą drogą się dowiedział, że panna Kwiatkowska nie żywi ku niemu niechęci.

To im obojgu wystarczało tymczasem. Widywali się u pani Zofii, ale i tam rozmowa była

ogólna i nie zdarzała się Zygmuntowi sposobność wypowiedzenia swych myśli i zamiarów, musiały więc spojrzenia wystarczać do czasu.

Węglarz ciągle o ciotce opowiadał i o jej zamiarach sprowadzenia się do Warszawy.

— Na domek kupca ona znajdzie prędko — mówił — bo to łakoma rzecz, mieszczanie zamożni, nieruchomość każdą, a zwłaszcza grunt, złapią natychmiast. Byle tylko nie wyzyskali jej, zmiarkowawszy, że chce sprzedać zaraz.

— To prawda — wtrącił Kwiatkowski.

— Mam jednak nadzieję, że ciotka trzymać się będzie przy cenie, boć to już jej cały majątek, a po świeżej stracie strzedz go będzie jak oka w głowie. To nic, dorobimy się jeszcze w Warszawie, tylko nie trzeba tracić ducha. Ja bo mam wielki pociąg do handlu i ciotkę będę do tego namawiał, na niczem się tak człowiek prędko nie dorobi, jak na spekulacyach. Żydzi wiedzą co robią, że się handlem trudnią — to jest najlepszy interes... Naprzykład węgle, zdaje się mała rzecz, a jednak...

Tu zaczął opowiadać szeroko o tem, jak trzeba handel węglami prowadzić i jak się można na nim dorobić.

Podczas tego wykładu, Zygmunt do Mani się przysunął.

— Przynoszę pani ukłony -- rzekł.

— Od kogo?

— Naturalnie od panny Wandy.

— Widziałam ją przecież przed dwoma go-dzinami. Czy pan tam był po mojem wyjściu?

— Wstąpiłem na chwilkę i bardzo żałuję, że pani tam nie zastała.

— A to dla czego?

— Byłbym panią do domu odprowadził.

— Dziękuję bardzo, mieszkam tak blisko, że chodzę zwykle sama.

— Przepraszam, nie sądziłem, że panią tem obrażę.

— Ale cóż znowu! Panie Zygmuncie! z kądem taki wniosek?

— Zdawało mi się... Wielka szkoda, że się państwo sprowadzili do Warszawy na jesieni.

— Tak wypadło.

— Warszawa jest brzydka w jesieni i zimie, a pani przybyłej ze wsi, jeszcze się pewnie brzydszą wydała, niż nam stale tu zamieszkałym.

— Ma pan słuszność, wieś jest o wiele ładniejsza w moich oczach.

— Niech mi pani wierzy, że latem i tu u nas nie brzydki. Ludzie zamożni, lub udający zamożnych, uciekają z miasta na czas lata, bądź za granicę, bądź na wieś, dla tych jednak, którzy z powodu obowiązkowych zajęć wyjechać się nie mogą, Warszawa nie jest tak straszna. Są ładne ogrody, są okolice, można sobie w święto robić wycieczki, wyjeżdżać rano, wracać nad wieczorem, statkiem parowym, lub koleją żelazną... Panna Wanda już marzy o takiej wycieczce.

— Mówiła mi, że aby tylko wiosna nadeszła, urządzimy majówkę.

— Pani także należeć będzie?

— Jeżeli tylko będę mogła.

— Ja zostałem zaszczycony godnością przewodnika.

— Zdaje mi się, że Wanda za wiele ciężarów wkłada na pana!..

— Nie złamię się pod tem brzemieniem — i już naprzód cieszę się z naszej majówki. Inaczej człowiek oddycha na świeżem powietrzu, w cieniu drzew.

Mania pochyliła głowę.

— Kto ma smutek, temu wszędzie smutek — szepnęła.

— A, niechże pani tak nie mówi, wszelkie smutki się kończą, a po nich nadchodzą dni pogodne i wesołe.

— A jednak...

— Może wiosna smutki rozproszy?

— Daj Boże...

— Wie pani — rzekł zmieniając rozmowę — panna Wanda ma pewien plan...

— Wandzia ma zawsze świetne plany.

— Mówi pani ironicznie, ale plan rzeczywiście jest dobry. Majówka na dzień powszedni, wycieczka na Saską Kępę, do Wilanowa, do Jabłonny, gdziekolwiek, miejsce jeszcze nie wybrane, ale dzień koniecznie powszedni.

— A robota?

— To mała rzecz, pani Zofia powiedziała, że się zgadza i że urządzi wszystko jak najlepiej. W pracowni zostanie tylko jedna panna, a my wszyscy w świat. Co pani na to?

— Nie wiem, panie Zygmuncie — to przecież zależy od tysiącznych okoliczności.

— A przedewszystkiem od woli pani.

— Moja wola zawsze doskonale się zgadza z wolą Wandy.

— Żeby tak było! — rzekł Zygmunt z westchnieniem.

— Co pan powiedział?

— Pragnąłbym, żeby zawsze wola pani zgadzała się z wolą mojej kuzynki, zawsze i w każdym wypadku.

— Nie rozumiem.

— Ale ja rozumiem... byłbym bardzo szczęśliwy wówczas, panno Maryo.

— Niech się pan jaśniej tłumaczy...

Był już zdecydowany i byłby wytłumaczył się jasno, lecz matka poprosiła na herbatę i rozmowa przerwana została. Później już nie było sposobu jej zawiązać. Wszyscy siedzieli przy stole, rozmawiano ogólnie, węglarz głównie uwagę całego towarzystwa zajmował.

Przy pożegnaniu Zygmunto wi zdawało się, że otrzymał silniejszy niż zwykle uścisk ręki.

X.

Bieda ma swój odrębny, charakterystyczny humor. Zdarza się nieraz, że na zapytanie żony, co dzisiaj na obiad jeść będziemy? mąż z całym spokojem odpowiada: jeść będziemy komodę lub szafę — salopę lub zegarek.

Śmieszna się może wydać komu tego rodzaju potrawa, a jednak jadają ją ludzie. I kucharz jest do tego specjalny, taki z brodą roztrzepaną, w brudnej i powyżej pasa zabłoconej kapocie, w przydeptanych butach, z workiem na ramionach. Chodzi on po podwórkach i woła:

— Handel! handel!

Nieraz go stróż za bramę wyrzuci i nieraz bogatszy lokator gniewa się i zżyma, słysząc jego wołanie, ale bywają chwile, że biedak z niecierpliwością jego pojawienia się oczekuje... Tak też go oczekiwał i Kwiatkowski.

Usłyszawszy wołanie: handel! handel! wychylił głowę przez lufcik i zawołał. Na to wezwanie rudobrody handlarz pospieszył, ale na górze nie zjawił się sam; już ich było trzech: jeden

z brodą czarną jak smoła, drugi siwy. Zkąd się wzięli tak nagle, to tajemnica rudego, dość, że się wzięli i przyszli.

— Nu, co wielmożny pan sprzedaje? — zapytał rudy.

— Futro mam — rzekł Kwiatkowski — i starą algierkę zdjął z wieszadła.

— Aj waj! — zawołał rudy — futro! co to jest futro? co z tem zrobić? teraz do lata idzie!!

— Futro?! — wtrącił czarny.

— Nu, komedye! pan chce teraz ludzi ubrać w futro — rzekł siwy, — brodę gładząc. No, no.

— Więc nie chcecie?

— Co mamy nie chcieć? My wolimy inną garderobę.

— Kawalek ładny palto — dobrze zapłacę.

— Trochę sak...

— Może marynarke?

— Nie mam do sprzedania, chcecie, bierzcie futro, nie chcecie, idźcie z Bogiem.

— Ja nie kupię futro — rzekł czarny.

— I ja też.

— Ja chcę ryzykować — rudy zawołał.

— Ty głupi! ty chamer!

— No, no, może jeszcze będzie mróz, ja ryzykuje, ja kupię! Ile pan dobrodziej ceni te stare, wytarte, zniszczone, wypłowiałe piżmowce?

Kwiatkowski cenę wymienił.

Żydzi pokładali się od śmiechu.

— Pan dobrodziej pozwoli — rzekł siwy — ja sobie trochę usiądę. Oj, oj, mnie już wątroba boli i kolkę trochę mam. Ja na mojem weselu,

na moich dzieci weselach, na chrzcinach moich wnuczków ja się tak nie śmiałem, jak ja się dzisiaj uśmiełem. Aj, aj, takie przechodzone, takie stare zniszczone futro!...

— Nu — wtrącił czarny — stary Mojsie się śmieje, a nam płakać się chce. Ładne czasy, jeżeli za ten gałgan tyle żądają, ile może kosztować używane sobole?

— Ny, co ty paskudniku chcesz? to też jest sobole, z tego gatunku co w plecy kole... To antyk jest, amatorska sztuka. Nu, tylko ja widziałem, jak ostatniego amatora na Powązki wynieśli. Teraz już wcale amatorów niema.

— Słuchajcie no panowie — rzekł poważnie Kwiatkowski...

— Aj waj, panowie, ładne panowie, co chodzą z workiem na plecy! Powiedz pan od razu: słuchajcie łapserdaki.

— Więc słuchajcie łapserdaki, kupujecie — czy nie?

— Owszem ja mogę kupić... kamaszów, dobrze zapłacę.

— Ja kupiłbym parę czego innego, to najlepszy towar jest.

— Może pan ma kamizelki?

— Nie mam, kupujcie to, jeżeli chcecie, a jeżeli nie, to idźcie do milion...

— Aj waj, my doskonale znamy ten adres... wszystkie panowie nas tam odsyłają.

— Drzwi otwarte, nikt was nie trzyma.

— My już idziemy, bądź pan dobrodziej zdrów. Szkoda, dalibóg lepszej ceny nikt nie da. Prze-

kona się pan, można wołać handlarzy z całej Warszawy, takich głupich ryzykantów jak my, pan nie znajdzie.

Rudy i czarny wyszli, siwy wrócił się ze schodów.

— Panie! — rzekł — ja postąpię jeszcze złoty, mnie pana żal.

— Nie oddam.

— Trzydzieści kopiejek!

— Nie!

— Pół rubla na moje sumienie, to moje ostatnie słowo.

— Idźcie sobie, znajdę jeszcze w Warszawie handlarzy?...

— Jak pan chce, ja powiadam, że szkoda fatygi... Gdzie pan znajdzie handlarzy?...

— Idźcie sobie.

Wyszli, jęcząc i narzekając na niegodziwe czasy. Za chwilę zjawił się inny handlarz, ale uprzedzony przez swoich towarzyszków, dawał jeszcze mniej niż pierwsi, to samo drugi i trzeci. W parę godzin zjawił się handlarz siwy z pierwszej grupy. Powiedział, że się rozmyślił, że jest wielki ryzykant, że się naraża na pewną stratę, ale pomimo to, kupi wyszarzane odziewadło i rzeczywiście kupił za ile chciał i oświadczył zarazem, że zgłosi się za tydzień i chętnie zrobi jaką nową transakcyę...

— Ja mam taką naturę, że lubię mieć swoich stałych kundmanów. Kto mnie zna, może być przekonany, że nigdy nie zrobię żadne oszukaństwo; co jest do kupienia to kupię, czy to będzie

garderoba, czy zegarek, czy buty, czy nawet używana biżuteria, albo stare butelki, ja wszystko kupuję. Mebel to mebel, lampa to lampa, a najlepiej to ja lubię garderobę...

Rzeczywiście, dowiadywał się co parę dni, co tydzień i zawsze jakąś kilkorublową transakcję zrobił. Było to już całe utrzymanie Kwiatkowskich. Wszelkie poszukiwania posady lub zajęcia nie prowadziły do celu; z obietnicy naczelnika biedny człowiek już zrezygnował i nie chodził nawet dowiadywać się, bo z góry wiedział co go czeka. Węglarz ciągle obiecywał, że wielki skład założy i że wtedy da kuzynowi miejsce doskonałe, ale wykonanie projektu zależało od wielu okoliczności, a przede wszystkim od sprzedaży domu ciotki i przeniesienia się jej do Warszawy. Na dom kupcy trafiali się, ale ciotka żądała bardzo drogo i przez to sprzedaż ulegała zwłoce.

Obiecywano, że z wiosną, jak się tylko ruch budowlany rozpocznie, będzie można prędzej zajęcie jakie dostać do kontroli materiałów, do dozoru, ale tymczasem żyć trzeba i rodzinę utrzymać. Kwiatkowski był zrozpaczony, najczarniejsze myśli przychodziły mu do głowy.

Wychodził co rano na miasto, zgłaszał się do różnych kantorów, do pośredników, wynagrodzenie obiecywał, ale wszystko napróżno.

Kiedy raz wieczorem przygnębiony po całodziennych poszukiwaniach powracał do domu, spotkał w Alejach Jerozolimskich Hermana. Ukłonił się i chciał iść dalej, nie mając zamiaru wszczynać rozmowy, ale go Herman zatrzymał.

— Cóż panie Kwiatkowski — rzekł, — gniewamy się?

— Ja? Nie panie.

— Wiem, ja wiem, węglarz plotek narobił, oczernił mnie przed panem, wystawił jak ostatniego łotra z pod ciemnej gwiazdy.

— Eh... nie.

— Znam ja ten język! Piękny charakter, odwdzięcza się za to, żem go z błota wyciągał prosto, ale mniejsza o niego na wdzięczność ludzką nigdy nie ma co liczyć — zresztą mało mnie to obchodzi — ale ciekawym, czy też dla pana co zrobił?

— Cóż on mógł?

— Ba! kto chce psa uderzyć, kij znajdzie.

— Nie rozumiem ja, do czego pan tę rozmowę prowadzi?

— A do tego mój panie, że jeżeli on wymógł, żebyś się pan odemnie usunął, to powinien poczuwać się do obowiązku dać panu to, co pan na zerwaniu stosunku ze mną straciłeś.

— Kiedy ja, doprawdy, nie wiem.

— Nie wiesz pan co straciłeś? Dużo, panie, bardzo dużo. O ile wiem, do tej pory obowiązku nie masz.

— Niestety, nie mam.

— Żyjąc z grosza, zapasy można prędko wyczerpać, jeżeli były jakie zapasy.

— Były i wyczerpały się już — rzekł niechętnie Kwiatkowski.

— Szkoda, wielka szkoda, że pan mnie nie słuchałeś. Dawałem takie dobre miejsce dla pan-

ny Maryi... byłoby się i dla pana może co znalazło — a tak, przyznaj pan, że teraz żałujesz.

— I cóż żal pomoże?

— Trzeba było szczerym być, otwartym. Trzeba było pomyśleć: bądź co bądź ten stary Herman był dla mnie życzliwy... trzeba było przyjść, rozmówić się.

— Proszę pana — rzekł cierpko Kwiatkowski — na co ta komedia? Przecież miałem jakie takie utrzymanie przy węglach i ztamtąd mnie pan wyrzuciłeś.

— On to powiedział?

— Tak.

— To kłamstwo bezczelne i ohydna potwarz, ja się do jego interesów nie mieszałem bynajmniej. On sam to zrobił.

— Komuż teraz mam wierzyć?

— Należało do mnie przyjść, objaśnień zażądać.

— To wszystko jedno, objaśnienia chleba moim dzieciom nie dadzą. Dobranoc, nie zatrzymuję pana, chłodno jest.

— A panie, tak być nie może, musimy się porozumieć.

— Ja pretensyi do pana nie mam.

— Ale we własnym interesie pańskim, porozumienie się niezbędne jest. Nie bądź pan taki gorący.

— O cóż idzie?

— Widzisz pan, wszystko da się naprawić. Dziś panu jest źle, jutro może być lepiej; dziś, dzięki niegodziwym językom i plotkarzom, masz

mnie pan za swojego wroga, jutro nazwiesz mnie przyjacielem, a może i dobrodziejem. Nie trzeba być zawziętym, w gorącej wodzie kąpanym, nie należy dać się unosić pierwszemu wrażeniu. Pan jesteś człowiek nie dzisiejszy, poważny, stateczny, nie możesz pan postępować jak młodzik. Nie, nie wolno panu być porywczym, pan masz żonę i dzieci, obowiązki...

— Proszę pana — rzekł Kwiatkowski — dobrze to jest, ja argumenta pańskie rozumiem, ale nie mam pojęcia, jaki związek ma jedno z drugim.

— Nie udawaj pan.

— Mówię szczerze.

— A ja mówię w pańskim interesie. Musimy się porozumieć, przekonam pana, że jestem lepszy niż się panu zdaje.

— Więc...

— Chodźmy.

— Dokąd?

— Gdziekolwiek, do mnie, do cukierni, byle pod dach, żeby pomówić swobodnie.

— Ha... dobrze, skoro pan sobie tego życzysz.

— Panie, sobie ja nic nie życzę, ja życzę panu przede wszystkim, żebyś pan wyszedł z biedy, która dała już się panu we znaki.

Zamiast odpowiedzi Kwiatkowski westchnął tylko, Herman ciągnął dalej.

— Znam ja to znam: z rodziną na bruku; z grosza żyć i krezusowe skarby się wyczerpią, nietylko zapasy, jakie niezamożny człowiek mieć może. Sam niegdyś przechodziłem takie koleje

trzeba było wyprzedawać się, zastawiać. Eh, panie kochany, znam ja to.

— Ciężko.

— Oj ciężko, to prawda, ale nadziei nigdy nie trzeba tracić, są dobrzy ludzie...

— Jakoś nie mam do nich szczęścia.

— Niegrzesz pan, ludzie o panu myślą...

— A no, może i myślą, ale ja ostatkami już gonię i do dalszej walki sił nie mam.

— Cierpliwości, cierpliwości...

— Powtarzam to sobie od pół roku, ale nareszcie rozpacz już ogarnia. Czego żądam? nie jałmużny, ale pracy... Chcę tego tylko, co ma stróż, tragarz, wyrobnik, żadnej roboty się nie powstydzę, każdą chętnie wykonam.

— Ba! tylko pracy!

— Sądziś pan, że...

— Nic nie sądzę... mówię tylko, że tysiące ludzi znajduje się w pańskim położeniu i że ostatecznie nie masz pan jeszcze czego rozpaczać — bywa gorzej.

— Nie wiem.

— Ja panu mówię. Chodźmy do cukierni.

Weszli. Herman znalazł wolny stolik w kąciaku na osobności, gdzie można było mówić swobodnie.

— No — rzekł co tam, panie kochany, odrzućmy troski na bok, a na rozweselenie, tak sobie oto, na przykład ponczyku...

— Dziękuję panu bardzo.

— Ale co tam, między przyjaciółmi nie powinny istnieć odrzucania.

— Ja...

— Chcesz pan twierdzić, że ja nie jestem pańskim przyjacielem.

— Nie, tylko...

— Otóż przekonam pana zaraz, że jestem. Hej! chłopcze, poncz ananasowy, dwie szklanki. Przepraszam, nie wymówisz się pan. Węglarz jest kłamca, potwarca, oszczerca, ale ja sobie z nim poradzę. Sądownie odpowie za to. Ja chcę dowieść panu mej życzliwości.

— Na to nie trzeba ponczu.

— Właśnie, że trzeba, niech nam się języki rozwiążą; co na sercu niech wyjdzie na wierzch. Słuchaj pan, wszystko się zmieni, pan będzie miał kawałek chleba porządny.

— Kiedy?

— Zaraz powiem szczegółowo. Nie poczekaś pan długo, w każdym razie, tylko trzeba rady mojej posłuchać. Jutro pójdziemy w jedno miejsce; mówię, że kawałek chleba, a nawet nie kawałek, ale kawał co się zowie...

— Jutro?

— Stanowczo jutro.

— W jaki sposób?

— Pójdiesz pan ze mną do jednego pana, który ma bogatą ciotkę, osobę samotną, schorowaną, wymagającą opieki. Taką opiekę dać może tylko osoba inteligentna, miła, łagodna, właśnie taka panienska, jak pańska córka.

— Moja córka...

— Naturalnie, już proponowałem to panu kilkakrotnie. Zgłaszało się kilka kandydatek; były

po dni kilka, po kilka tygodni, lecz żadna nie przypadła do gustu.

— A zkadże pan wiesz, że ona...

— Wiem napewno, bo znam wymagania. Wiem, czego tam żądają, a córka pańska warunki te posiada.

— Ależ panie.

— Słuchaj pan dobrej rady.

— Nie wiem doprawdy.

— Pensya panny Maryi, już dla całego domu waszego utrzymanie stanowić może.

— Ileż oni dają?

Herman wymienił sumę.

— Istotnie — rzekł Kwiatkowski — wynagrodzenie znaczne.

— A widzisz pan!

— Dla tego też boję się i mam pewne wątpliwości.

— Ha! paradny pan jesteś doprawdy, lękasz się tego, że dobrze płacą...

— Bo...

— Nie panie, nie przypuszczaj pan nic złego, kobieta bogata, płacić może. Ona ma gruby majątek i nie jest w stanie przeżyć swoich dochodów, bardzo więc pięknie z jej strony, że da biednej panience zarobek.

— Prawda to panię, ale bądź co bądź, mam pewne wątpliwości.

— Jakież?

— Czy mógłbym poznać tę panią?

— Owszem, nic słusniejszego. Pójdziemy do niej razem, zobaczysz pan jaka ta godna, ja-

ka miła staruszka, drugą matką dla panny Maryi będzie... Więc jakże, pójdziemy?

— Dobrze.

— Jutro?

— Jak pan chce.

— Prócz tego, zważ pan jaki się zawiąże stosunek. Taka dama jest arystokratką, ma ona bardzo liczne znajomości i to nie byle jakie, z pośród ludzi, którzy nic od nikogo nie potrzebują, a komu chcą, mogą dużo dobrego zrobić. Taka znajomość dużo warta.

— Nie przeczę, ale...

— Niema ale... Przekonam pana zaraz. Dziś pańska córka obejmuje obowiązek, a jutro ten pan, o którym wspominałem, daje posadę panu i właśnie taką posadę, o jakiej pan marzyłeś, przy gospodarstwie na wsi.

— Czy pan mówiłeś z nim?

— Nietylko, że mówiłem, ale to rzecz już ułożona: pan mnie uważał za swego wroga, za nieżyczliwego, a ja przyjacielem pańskim jestem, pan słuchał tego narwanego węglarza, tego waryata, a ja, panie, ja jestem... no przekonasz się pan, czem ja dla pana jestem!

— Doprawdy nie wiem, jak dziękować.

— Po co dziękować? Dość podać rękę na zgodę. Wiesz pan co, panie Kwiatkowski, ten ponczyk jest wcale dobry, gdybyśmy tak jeszcze po szklaneczce?

— Za dużo będzie.

— Na frasunek...

— Ja nie mogę.

— Musisz pan, z przyjacielem to nawet kieliszek smoły nie zaszkodzi. Hola! chłopiec, dajno nam jeszcze dwie szklanki. Kwiatkowski wymawiał się, ale Herman do słowa przyjść mu nie dał; po drugiej szklance kazał dać trzecią, czwartą, biednemu człowiekowi zaczęło w głowie.

— Teraz pan wierzysz w moją przyjaźń — pytał Herman.

— Wierzę...

— I przyznajesz pan, że tamten plotki rozpuszcza.

— Przyznaję.

— Więc daj pan rękę na zgodę. Jutro idziemy do tej damy, jestto wielka arystokratka, ale bardzo popularna; nie da nam uczuć swej wyższości, pójdziemy o dwunastej.

— Dobrze.

— Chodzi mi tylko o jedną rzecz.

— O co?

— Żeby córeczka pańska nie zgrymasiła.

— Co?

— Żeby panna Marya nie chciała swoim zwyczajem fochów stroić.

— A moja powaga ojcowska nic nie znaczy?

— Z kobietami rzecz, kochany panie, dla nich żadna powaga nie ma znaczenia. My chcemy na prawo, one na lewo i żebyś pan był poważny jak rabin, nic nie poradzisz. Córka ma swoje fantazy, matka stanie po stronie córki, a pan dobrodziej ha... ha...

Śmiał się zjadliwie i mrugał oczami, podbudzając Kwiatkowskiego do wojny domowej.

— Prawda, panie, walka nierówna co? Siła złego dwóch na jednego ale w tym wypadku gorzej, bo nie dwóch, ale dwie na jednego.

— Mój panie, co pan tak wyszydzasz?

— Wcale nie mam intencji wyszydzania, powiadam tylko, że wojnę pan będziesz musiał stoczyć.

— Jak będzie potrzeba, to stoczę.

— W takim razie życzę zwycięstwa. Pamiętaj pan jutro o dwunastej.

— Punktualnie stawię się.

— Podziękujesz mi pan kiedy za życzliwą radę; już dość pan przeszedłeś i zniosłeś, czas odetchnąć i żyć sobie spokojnie, bez troski. Ja rozumiem, jak człowiekowi błogo jest na duszy, kiedy go nie dręczy pytanie: co będzie jutro? Co dam jeść rodzinie? Znam z doświadczenia, bo bywałem na wozie i pod wozem.

Kwiatkowski ciężko westchnął. Pomyślał, że także bywał na wozie, ale jak się dostał pod wóz, to na żaden sposób wydobyć się z pod niego nie może. Córkę wypadnie oddać z domu; przykre to, ale ostatecznie, cóż dziewczyna na tem straci? Pobędzie przy tej damie rok, czy dwa, a rodzicom przez to wielką pomoc przyniesie.

— Niema chęci, ale wobec ciężkiej konieczności chęć musi ustąpić. Dla czegoby córka nie miała poświęcić osobistych upodobań dla dobra całej rodziny?

Tego wieczora Kwiatkowski długo z żoną rozmawiał, długo ją przekonywał — zawołano

Manię. Żal jej było rozstawać się z panią Zofią i Wandą, z temi dobrymi kobietami, do których przyzwyczaiła i przywiązała się, a które okazywały jej tak szczerą życzliwość, żal jej było wreszcie Zygmunta, który częstokroć do pracowni zaglądał i spojrzeniem, uściskiem dłoni usposobienie swe dla niej zdradzał. Teraz cóż ją czeka? Sama jedna, w domu obcym zupełnie, w towarzystwie osoby starej i schorowanej, a więc przykrej i nudnej zapewne, pędzić będzie smutne chwile. Nie usłyszy wesołego śmiechu, ani miłej rozmowy... może nawet dobrego słowa. Jednak cóż robić? Konieczność zmusza, poddać się jej trzeba. I żeby to chociaż odwlec się dało, ale nie, ma się to zacząć zaraz, od jutra podobno.

Nazajutrz rano była w pracowni, aby się pożegnać. Pani Zofia ani słuchać o tem nie chciała, a Wandzi, pomimo wesołego usposobienia, na płacz się zbierało.

— Mamo — rzekła — to niemożliwe, my jej nie wypuścimy.

— O! gdybym tylko mogła — odrzekła pani Zofia, — czy u was już tak źle, że nie macie innego środka tylko ten?

— Niestety, tak!

— Moja Maniu, ja zaraz pójdę do twoich rodziców i muszę się z nimi rozmówić.

— Cóż im pani powie, cóż poradzi?

— Czekaj moja duszko, niech no myśli zbiorę, zastanowię się, zobaczę.

— Słuchaj Maniu, ja cię zbuntuję, ty nie daj się -- zostań z nami. Doprawdy, dziwię się...

— Co cię dziwi?

— Jaki on niezdara, jaki niezdara!... Doprawdy na wystawę niedołęgów możnaby go posłać i złoty medal dostać za taki okaz.

— O kim mówisz?

— O kimżeby, jak nie o kochanym panu Zygmuncie. Do wzdychania, jęczenia, przewracania oczami, to jest — a gdy potrzeba prawdziwie męskiej rady i pomocy, to go niema. Powiadam ci, że nie cierpię tego ślamazarnika!

— Moja droga, niesłusznie potępiasz twego kuzyna. Cóż on może zrobić?

— Eh, moja Maniu, ja nie wiem, ale mnie się zdaje, że gdybym była mężczyzną, to musiałoby wszystko stać się podług mojej woli.

— Tak ci się zdaje.

— Niechno ja go spotkam, usłyszy takie słowa prawdy, jakich mu jeszcze nikt nie powiedział. Gdy ty od nas odejdiesz, gdy zdecydujesz się na ciągle towarzyszenie owej damie, będzie wzdychał, smucił się, a ja wtenczas powiem: dobrze ci tak, bardzo dobrze, nie zobaczysz jej ani za pół roku, ani za rok, nigdy...

— Moja Wandziu!

— Przyrzekam solennie, skoro cię kocha, skoro chce, żebyś była jego żoną...

— Przecież on tego nigdy nie mówił.

— Tobie nie mówił, ale mnie mówił sto razy. On powinien niebo i ziemię poruszyć, żeby celu dopiąć. Ja tak rozumiem przywiązanie. Jakto? chce być twoim mężem, a pozwoli na to, żebyś szła pomiędzy obcych ludzi, żebyś się wysługi-

wała, zamiast skończyć naukę, mieć swój własny niezależny kawałek chleba. Nie! Maniu, ja tego nie rozumiem i nie zrozumieć, choćbyście mnie wszyscy przekonywali, że się myślę.

— Wandziu — rzekła pani Zofia — co do mnie, ja ciebie rozumiem i zdanie twoje podzielam.

— A widzisz Maniu — rzekła Wanda — mama to samo powiada.

— Przepraszam, pozwól mi dokończyć.

— Owszem, ja nie przerywam.

— Ażeby wyperswadować państwu Kwiatkowskim, żeby Mani do obowiązku nie oddali, trzeba innych argumentów, niż nasza życzliwość i dobre chęci. Należy wejść także w ich położenie. Oni w gruncie rzeczy nasze zdanie podzielają, lecz nie mają wyboru. Im chodzi o byt. Wiesz dobrze, że pan Kwiatkowski zajęcia od dość dawna niema.

— Niestety, tak!

— Nie dziw się więc, że ratować się chce, nie dziw się moja Wandziu. Każdy na ich miejscu to samo by zrobił.

— Prawda to, moja mateczko, ale w takim razie gdzież są owe argumenty, o których wspominałaś przed chwilą, i czy my, to jest, ty mammo, potrafisz je wynaleźć.

Pani Zofia uśmiechnęła się.

— Do pewnego stopnia przynajmniej starać się będę o to.

— Ale co?

— Ha, pójdę do państwa Kwiatkowskich, spróbuję, może ich przekonam.

— Czem moja mamó, czem?

To mówiąc Wanda rzuciła się na szyję matce i całować ją zaczęła.

— Najdroższa moja — mówiła — przedemną sekretów mieć nie powinnaś, wiesz dobrze, jak Manię kocham, że ona mi jest jak siostra, gdyby o mnie samą chodziło, nie byłabym tak niespokojna, jak jestem.

— Moja Wandziu — odrzekła pani Zofia — wierz mi, że ja również jak ty, jestem dla Mani życzliwa i chciałabym jej dopomóc. Przez czas, kiedy się u nas uczy, uzdolniła się tyle, że może być już dla nas pożyteczną, postanowiłam więc dać jej stałą pensję, a jedną z przychodnich pańien oddalić. Naturalnie pensya będzie niewielka, nawet bardzo mała, ale kto wie, czy nie pozwoli państwu Kwiatkowskiemu przetrzymać złych czasów... Może... no, nie dziękujcie mi... ja nie wiem, to jest tylko projekt, na który Mani rodzice mogą się zgodzić lub nie... Ja idę w tej chwili, wytłomaczę, przedstawię, a co będzie postanowione, nie przesądzam.

— Jaka pani dobra — rzekła Mania.

— E, nie taka znowu, jak ci się zdaje, kocham cię bardzo, to prawda, ale pragnąc cię zatrzymać przy nas, działałam w interesie własnym. Gdzie znajdę taką pocziwą, dobrą i pracowitą panienkę, jak ty, moja Maniu? Wszystkie te panny, które mamy z ogłoszeń, sympatyj we mnie nie budzą, alboż mogę wiedzieć co za jedne? co warte?... Przychodzą do roboty, zrobią co do nich należy i idą a ja ich nie pytam: dokąd. Żadna

z nich nie jest ani przyjaciółką, ani towarzyszką Wandy — ty zupełnie co innego, jeżeli więc radabym cię zatrzymać, to czynię to nie dla kogo, lecz dla siebie, moja Maniu i dla Wandy. No nie rozrzewniajcie się, daj mi Wandziu kapelusz i okrycie — idę. Co zrobię, nie wiem, radabym jak najlepiej.

Po chwili pani Zofia wyszła, dziewczęta zostały same.

— Moja Maniu — rzekła Wanda — co będzie, jeżeli mama z niczem powróci?

— Cóż ma być — woli rodziców sprzeciwiać się nie mogę, jak każą tak postąpię.

— Mój Boże! i nie będzie ci smutno między obcymi?

— Ty mnie o to pytasz?

— Nie przeraża cię schorowana dama, której towarzyszką masz być?

— Bardzo!

— Wyobrażam sobie, że jest ona czemś pośrednim między mumią egipską, a tym starym panem, który u was bywa.

— A... panem Hermanem.

— Tak, to musi być nieuczciwy człowiek.

— To, jak powiada ojciec, jest nasz dobrodziej. On mi właśnie wynalazł obowiązek, od którego radabym się wykupić, żebym miała czem.

— Ciekawam bardzo, co Zygmunt na to powie?

— Cóż ma powiedzieć.

— O! już ja się z nim rozprawię i wierz mi, że mu tak natrę uszu...

— Nadużywasz praw kuzynki.

— Czy zazdrość przez ciebie przemawia?

— O Wandziu, dajże pokój.

— Jeżeli zazdrość to nieuzasadniona; moje serce jest od pana Zygmunta bardzo, bardzo daleko... Ten do którego ono należy...

— Ah! więc należy do kogoś?

— Bardzo naturalnie. Dla czegoż miałabym się odróżniać od innych, wolno wam kochać, wolno i mnie. Nie czas jeszcze o tem mówić.

Pani Zofia długo nie wracała. Panny zniecierpliwione spoglądały na zegar, skracając sobie czas robotą i rozmową, nareszcie po upływie dwóch godzin, dzwonek brzęknął w przedpokoju.

Wanda wybiegła do matki z krzykiem.

— Cóż, mamó, zostaje?

— Nie... nie może.

— Ah! jaka szkoda, ja się chyba zamartwię!

— Cóż robić, moje dzieci, biedni ludzie woli swojej nie mają i muszą postępować tak, jak tego konieczność wymaga. Rozmawiałam długo z panią Kwiatkowską, zupełnie szczerze i serdecznie, a wierz mi, że jakkolwiek ja i ty bardzo Manię kochamy, jednak matka kocha ją jeszcze więcej, a skoro ona powiada, że tak być musi, nasz głos niema już żadnego znaczenia. Idź więc, Maniu, do nowego obowiązku. Kochaj nas i nie wyrzucaj z pamięci, miej zawsze na myśli, że kiedykolwiek tu przyjdiesz, zawsze znajdziesz pracę, a przede wszystkim życzliwe, szczerze ci oddane serca. Nie zatrzymuję cię już dłużej, idź, matka na ciebie czeka. Bądź zdrowa,

najlepsze nasze życzenia towarzyszą ci, a jak będziesz miała wolną chwilę, to odwiedziwszy rodziców, zajrzyj i do nas. Bóg da, że rozłączenie nie potrwa długo.

Mania uścisnęła serdecznie Zofię i Wandę, popłakały się przytem wszystkie trzy.

Po wyjściu Mani, Wanda odezwała się do matki:

— Wie mama, że ja nic dobrego po tem się nie spodziewam.

— Po czem, Wandziu?

— A po tym obowiązku, po tych złotych górach, które jej obiecują.

— Dajże pokój. Oni są zupełnie biedni, im głód zagraża, cóż dziwnego, że się ratować pragną. Czyż jedna młoda osoba przyjmuje obowiązek? Przecież to nie wieczne. Może rok, dwa, okoliczności się zmieniają, ojciec posadę dostanie. Mania powróci do nas, a może za mąż pójdzie, dobra miła dziewczyna, może się każdemu podobać.

XI.

Pan Zygmunt wesoły, uśmiechnięty, szedł przez Hożą, zdążając wprost do domu, w którym mieściła się pracownia pani Zofii. Był w wyjątkowo dobrem usposobieniu, a dzień ten podkreślił w kalendarzu czerwonym ołówkiem. Rano, gdy przyszedł do biura, woźny ukłonił mu się niżej niż zwykle. Na razie nie zwróciło to jego uwagi, ale dostrzegł, że i koledzy patrzyli na niego nie tak jak codziennie. Ci, z którymi był daleka i prawie nie znał się z nimi, pierwsi powitali go bardzo przyjaznym ukłonem, ci z którymi w bliższych zostawał stosunkach ściskali dłoń jego bardzo serdecznie i szeptali półgłosem.

— Winszuję.

— Czego? — pytał zdziwiony.

— Nie udawaj, bo wiesz doskonale.

Zygmunt istotnie nie wiedział o niczem, a dopytywać się było trudno, gdyż tego samego dnia pan dyrektor we własnej osobie zwiedzał biura, więc kto żył ten drżał i słowa wymówić nie śmiał. Wszyscy pochylili się nad papierami a pi-

sali i rachowali całą siłą. Dygnitarz, kolejowy przechodził z sali do sali, od biurka do biurka, zapytywał o to i owo, a w razie dostrzeżenia najmniejszej nieakuratności udzielał nagany i groził dymisją. Za dyrektorem szli naczelnicy w przyzwoitej odległości, pochyleni, zgięci, łowiący w lot każde słowo, starający się zrozumieć każde spojrzenie swego zwierzchnika. Żaden z kancelistów tak nie nadskakuje posażnej panie, jak oni dyrektorowi.

Wizyta trwała kilka godzin. Nareszcie około pierwszej dyrektor biuro opuścił. Wtenczas wszyscy odetchnęli swobodniej, zrobił się szmer taki jaki bywa w szkole po wyjściu surowego nauczyciela, ale wnet ucichł, gdyż bezpośredni zwierzchnik, pan naczelnik, odprowadziwszy dyrektora na schody, powrócił do biura. Nie miał już miny unížonej i postawy nadskakującej, wprost przeciwnie, wszedł zachmurzony, z podniesioną głową, spojrzeniem rozkazującym, prawie groźnem.

— Panowie — rzekł — pan dyrektor był dość zadowolony, ale nie w takim stopniu, jakbym ja tego sobie życzył. Pokazuje się, że jestem mało wymagający, za łagodny i że zbyt często patrzę przez szpary na objawy zaniedbania czynności przez niektórych z panów. Od dziś dnia nie ma śniadań, ani interesów osobistych. «Sześć godzin będziesz w biurze siedział, przez osiemnaście odpoczywał,» tak powiada nawet, jeżeli mnie pamięć nie myli, biblia. Instytucja nasza jest na drodze do robienia oszczędności, panowie akcyonaryusze uskarżają się na małą dywidendę. Któż

ją podniesie, jeżeli nie my, panowie? My — dodał, — uderzając się w piersi, — pamiętajcie panowie, że ptak łatwiej nie sfrunie z gałęzi, jak pracownik drogi żelaznej z posady. To mniej więcej miałem panom do powiedzenia, i zarazem dodaję, że z mojej strony uczynię co mogę, aby wam to ułatwić.

Skłonił się z powagą i odszedł do gabinetu. Po chwili przybiegł woźny do p. Zygmunta i wezwał go do naczelnika.

— Siadaj kochany panie — rzekł dygnitarz — szczęśliwy jesteś, w czepku na świat przyszedłeś, otrzymałeś awans i znaczne podwyższenie pensyi; wieszuję ci z całego serca.

Zygmunt uścisnął delikatnie podaną sobie rękę i rzekł:

— Przedewszystkiem panu naczelnikowi mam to do zawdzięczenia.

— Mnie, a cóż ja w tem za rolę gram?

— Bez przedstawienia zwierzchności nikt nie bywa awansowany.

— No, zapewne, ale przedstawiając cię z najprzychylniejszą opinią, czyniłem to w poczuciu sprawiedliwości i prawdy... Zasługa i praca, znajomość rzeczy nie powinny być pozostawione bez nagrody.

— Nawet i w takim razie, muszę panu naczelnikowi przedewszystkiem podziękować.

— Sobie raczej niż mnie.

— A, za pozwoleniem, wszakże była mowa o znajomości służby; komuż to zawdzięczam, jeżeli nie panu naczelnikowi, który od samego po-

czątku był moim światłym kierownikiem i przewodnikiem.

— Zapewne, zapewne, to bezwątpienia, ale widzisz młodzieńcze, nasiona rzucone padają na grunt dobry, albo na skałę. W tym wypadku na grunt dobry padło — tem więc bardziej mi przykro, że cię tracę.

— Jakto panie naczelniku?

— Nie z mojej woli, lecz z woli samego dyrektora otrzymujesz stanowisko samoistne w innym wydziale, to ci zapowiada piękną przyszłość, młodzieńcze. Już teraz masz stanowisko wcale dobre, powinienbyś pomyśleć o towarzyszcze życia, ożenić się — co?

— Dotychczas nie wolno mi było o tem marzyć.

— Co innego dotychczas, co innego teraz. Teraz żenić się możesz i powinieneś, ja cię zachęcam i ośmielam cię nawet. Skromność w młodzińcu jest dobra, ale aby nie przesadzona. Na dzisiejszem twojem stanowisku możesz być śmiałym, możesz podnieść oczy na córkę człowieka nawet wysoko położonego.

— O panie naczelniku!

— Powtarzam ci mój młody przyjacielu, śmiałość jest ozdobą młodzińca w pewnych razach, a w oczach kobiet znaczy niezmiernie dużo. Nie darmo mądrzy rzymianie wynaleźli przysłowie: «audaces fortuna juvat.» No kochany panie Zygumencie, żart na stronę, wieszuję ci nowej pozycji i radzę pomyśleć o żonie.

— Pomyślę, panie naczelniku.

— Dobrze zrobisz, a przyjdźże do nas kiedy. Żona już mnie kilkakrotnie zapytywała, co się z tobą dzieje, Malcia również.

Dla ścisłości dodać należy, że pan naczelnik był szczęśliwym ojcem trzech córek, z których jeszcze ani jedna nie znalazła dozgonnego towarzysza. Zygmunt uszczęśliwiony wziął do serca życzliwe rady pana naczelnika i pobiegł wprost na Hożą. Trafił tak niefortunnie, że ani pani Zofii ani Wandy w domu nie zastał.

Trzeba też zdarzenia, aby tak przyjemną nowiną nie miał się z kim podzielić.

Niezadowolony poszedł machinalnie wprost przed siebie z Hożej na Marszałkowską, do alei Jerozolimskiej. Szedł zamyślony, potrącał przechodniów i sam był potrącany nawzajem. Naraz zdało mu się, że przed sobą słyszy głosy znajome.

— Obejrzał się — była to pani Zofia z córką.

— Dobry wieczór paniom — rzekł.

— Ah! pan Zygmunt.

— Właśnie idę wprost z Hożej, byłem, ale nie miałem szczęścia zastać.

— Gdybyśmy były uprzedzone, że nas ten honor spotka — rzekła Wanda. — Cóż pana do nas sprowadza?

— Wandziu -- odezwała się matka — jak możesz mówić w ten sposób?

— Owszem, mam, mogę. Pan Zygmunt tak dawno u nas nie był, że przypuszczam, iż jakaś nadzwyczajna okoliczność przypomniała mu o naszym istnieniu.

— Tydzień temu.

— Doprawdy? według mego rachunku dwa, a wiesz pan pewnie, że dwa tygodnie, to czas, w którym mogą zajść różne poważne zmiany...

— Nie widzę ich. Pani zawsze jednakowo ładnie wygląda.

— Zwłaszcza przy świetle latarni, ale powiedzże pan, co pana do nas sprowadza?

— Nie przekomarzajcie się moi kochani — rzekła pani Zofia — mam nadzieję, że pan nas odprowadzi i zostanie na herbacie.

— Z największą przyjemnością.

— To jeszcze zobaczymy... — szepnęła Wanda, uśmiechając się złośliwie.

— Co pani powiedziała: zobaczymy?

— Masz pan rację, powiedziałam źle, należało powiedzieć — nie zobaczymy.

— Ja pani nic a nic nie rozumiem...

— Pociesz się pan w takim razie wzajemnością, bo ja pana nie rozumiem także.

— A zdawało się...

— I mnie zdawało się również; teraz widzę, że omyliłam się.

— Panno Wando przestań pani być złośliwą i racz posłuchać. Przyszedłem naumyślnie, żeby się pochwalić... to jest, źle się wyrażam, żeby paniom zakomunikować pewną wiadomość dla mnie pomyślną bardzo.

— A widzi mama, że jest interes, ale skoro to coś dla pana Zygmunta pomyślne, to słuchamy z ciekawością.

— Dziś otrzymałem awans.

— A winszujemy, z całego serca winszujemy.

— Dziękuję... Przyznam się, że była to dla mnie niespodzianka zupełna, awans, jak na nasze stosunki, dość znaczny.

— I nie starałeś się pan?

— Nie, nie starałem i nie wiem, komu mam zawdzięczać, że otrzymałem. Widocznie mam szczęście.

— To doskonale — rzekła pani Zofia — ucieszyłeś mnie pan niezmiernie.

Gawędząc doszli do domu, przez całą drogę Wanda ani razu nie wspomniała o Mani i tak manewrowała, żeby Zygmunt o nią nie mógł zapytać.

Przy herbacie młody człowiek nie mogąc się doczekać tej, dla której naumyślnie przyszedł, zwrócił się do Wandy z zapytaniem:

— Czy panna Marya chora?

— Nie wiem — odrzekła lakonicznie.

— Pani nie wie?

— Mówię przecież wyraźnie.

— Niechże pani nie żartuje.

— Ach Boże! zkadże mogę wiedzieć, czy zdrowa, czy chora, kiedy jej tu niema.

— Nie była dziś?

— Ani dziś, ani wczoraj, ani onegdaj. Od tygodnia jej nie widziałam.

— Więc już nie pracuje razem z paniami?

— Nie; powiedz mi pan co dziś grają w teatrze?

— Nie wiem, ale panna Marya...

— Bardzo źle, że pan nie wie; któż zaspokoi moją ciekawość?

— Zapóźno już dziś na teatr, niech pani ze

mnie nie żartuje, bo mi to sprawia wielką przykrość.

— Takiemu dygnitarzowi? Co pan dobrodziej życzy sobie wiedzieć?

— Gdzie jest panna Marya? ale proszę powiedzieć prawdę, koniecznie!

— U nas już jej niema, gdzie się znajduje, powiedzieć nie umiem.

— Dajże pokój Wandziu — rzekła pani Zofia — nie dręcz go. Mania, z wielkim naszym żalem opuściła nas. Trafił jej się dość korzystny obowiązek, musiała przyjąć. Ojciec bez posady, fundusze wyczerpane — trudno, trzeba żyć.

— A, na miłość Boga, czemuż ja o tem nie wiedziałem.

— Przepraszam — wtrąciła Wanda — o tem, że pan Kwiatkowski posady niema, wiedziałeś pan, a nawet obiecywałeś, że dołożysz starań.

— Czyż mogłem przypuszczać, że tak u nich źle... a doprawdy, nie spodziewałem się tego. Radźcie panie co robić, przecież w obcym domu, choćby w najlepszych warunkach, nie podobna jej zostawić. Ja nie mogę na to pozwolić!

Pani Zofia uśmiechnęła się.

— Pan, panie Zygmuncie? a z jakiejże to racyi, pozwolenie pańskie, może mieć wpływ w tej sprawie?

— Z jakiej racyi? prawda, zupełnie słuszna uwaga, w tej chwili racya nie istnieje, ale istnieć będzie, istnieć musi — przekonacie się panie...

— Ślicznie, panie Zygmuncie — zawołała Wanda — doskonale! tak lubię! mówisz jak

mężczyzna... to mnie godzi z panem; proszę mi podać rękę.

— Czyż dotychczas nie byliśmy w zgodzie?

— Nie, miałam żal do pana, ale teraz niema go ani cienia, ani śladu i jesteśmy przyjaciółmi jak dawniej.

— Jak zawsze panno Wando.

— Tylko bądź pan energiczniejszy, weź się pan do rzeczy zaraz, nie odkładając.

— Czyż mnie potrzeba do tego zachęcać?

Podczas gdy Zygmunt z Wandą rozmawiali o Mani, ona spełniała swój nader uciążliwy i nudny obowiązek w towarzystwie osoby chorej, której ani na krok odstępować nie było można, narażona na znoszenie wszelkiego rodzaju kapryśków złego humoru i przywidzeń, znosiła los z rezygnacją, pocieszając się tem, że jej cierpienie zapewnia przynajmniej do pewnego stopnia byt rodzicom i rodzeństwu.

Od wczesnego rana musiała być na nogach, gdyż chora, nie mogąc sypiać, przed wschodem słońca wstawała. Wnet też rozlegał się dźwięk dzwonka, a za nim grad wymówek i pretensyi.

— Panno Maryo, dla czego nie podano mi jeszcze herbaty?

— W tej chwili będzie.

— Panna Marya stroi ze mnie niepotrzebne i zupełnie niewłaściwe żarciki.

— Co pani rozkaże?

— W tej chwili... w tej chwili, czy panna wie co to jest w tej chwili? to jest zaraz, natychmiast, bo za minutę już nie będzie ta chwila, ani w tej

chwili, tylko tamta chwila i w tamtej chwili, rozumie pani?

— Rozumiem i natychmiast idę do kuchni.

— Ciekawam po co?

— Każę przyspieszyć.

— Racz pani zostać, tam są ludzie, których obowiązkiem jest o tem pamiętać.

Marya usiadła na krześle w przeciwnym kącie pokoju; jejmość skrzywiła się na to.

— Siadła pani tak daleko, że musiałabym zerwać płuca, chcąc z panią rozmawiać.

— Jestem też i słucham pani.

— Słucham? ironia... wszyscy mnie tu słuchają, a każdy i każda robi co chce. Czy wczorajsza gazeta przeczytana?

— Nie — pani była znużona i śpiąca.

— Chcesz pani we mnie wmówić, że ja śpiam! ha — cały świat wie, że od lat trzech oka zmrużyć nie mogę... drzemię tylko.

— Czy mam przynieść gazetę?

— Nie trzeba... albo... oni mi dziś tej herbaty nie dadzą... wreszcie przynieś pani, trzeba czems czas zabić.

Po chwili Mania powróciła z gazetą, usiadła blisko chorej i czytać zaczęła.

— Proszę głośniej — rzekła jejmość — szeptem pani czytasz tak, że ledwie słyszę.

Mania podniosła głos.

— Pani mi czytasz politykę, której nie cierpię. Co mnie obchodzi angielska izba niższa, nie mam z nią nic wspólnego, proszę o co innego.

— Jest korespondencya z Paryża.

-- Długa?

— Dość długa.

— To nie chce.

— Jest powieść w odcinku.

— A, powieść, zapewne romans, o miłości, kwiatkach, zielonych łąkach i niedorzecznej panie, która nie mając nic lepszego do roboty, zakochała się po same uszy w jakimś gapiu. Daj panna pokój, naczytałam się dość tego za młodu.

— Są wiadomości z różnych miast.

— Niepotrzeba.

— Jest opis okropnego wypadku na kolei, most się zawalił, pociąg wpadł w rzekę, kilkadziesiąt ofiar.

— To już kiedyś było.

— Proszę pani to się stało wczoraj.

— W takim razie przedtem było coś podobnego, nie cierpię odgrzewanych nowin.

— Jest nekrologia.

— Aha... któż umarł?

— Pan X. — Pani Z.

— Nie znałam.

— Są ogłoszenia.

— A wiesz pani, że to najciekawsze, proszę czytać.

Po chwili chora przerwała

— Istotnie — rzekła — to zdumiewające! oni ani myślą dać mi herbaty. Dojdzie do tego, że będę musiała sama nastawiać samowar. Ja się pani bardzo dziwię doprawdy, że osoba w wieku pani, osoba tak młoda, nie zada sobie trudu, żeby przekonać się jak to jest.

— Ależ ja chciałam pójść natychmiast i w tej chwili pójść mogę. Zastosowałam się tylko do wyraźnego rozkazu pani...

— Ach... rozkazu... rozkazu... niechże pani da pokój.

Mania wstała.

-- Dokąd pani idzie?

— Przyniosę pani herbaty.

— Zbyteczny trud, masz pani zostać, nie mam chęci znajdować się w samotności zupełnej. Niech pani napisze bilecik do doktora, żeby mnie odwiedził i do mego kuzyna, pana Leona, aby koniecznie przyszedł.

— Natychmiast.

— Nie potrzeba natychmiast, ale prędko. Za godzinę proszę kazać odnieść.

Dyspozycya ta była jeszcze kilkakrotnie zmieniana, tak jak wszystkie rozkazy kapryśnej chorej. Zrzędziła ona od rana do nocy, a nawet w nocy nie dawała Mani spokoju, gdyż sypiać w nocy nie mogła. Ciężką dolę miała młoda dziewczyna, pełna życia, spragniona ruchu, rozmowy, wesołości, — ciężkie miała życie pod jednym dachem z osobą schorowaną, znudzoną i przykrą w obejściu. Była to dla niej przykra niewola, z której radaby się jak najprędzej wydobyć i gdyby nie względy na smutne położenie rodziców, nie zostałyby ani jednej chwili w tym domu. Ciągle myślała o matce i ojcu, który tak martwił się bardzo — i właśnie myśl, że jej cierpienie rodzinie ulgę przynosi, podtrzymywała jej siły i dodawała otuchy.

Kwiatkowskiemu nadzieja w serce wstępować zaczęła. Węglarz spotkał go raz na ulicy, był rozpromieniony i wesoły szczególnie.

— Dobra nasza — zawołał — uszy do góry!

— Cóż zaszło?

— Ciotka chałupę sprzedała.

— Dawno?

— W tych dniach, właśnie list mam dzisiaj— sprzedała dobrze, bo wszystko gotówką, na stół, żadnego czekania. Tak to rozumiem handel. — Ty za dworek, ja za worek i daj nam Boże zdrowie.

— Przyjedzie na mieszkanie do Warszawy?

— Jak w dym... a gdzieżby? Juściż co tu gadać, poczciwe ciotczysko, ale się owem za mąż pójsiem zbajała fatalnie, tam kumoszki na języki ją wzięły, więc musi babina zmykać gdzie pieprz rośnie. Właśnie pisała, że cała nadzieja jej we mnie i w moich zdolnościach do handlu, bo niech tam kto chce mówi, ale te zdolności ja mam... przyznasz pan chyba, że mam?

— Zapewne.

— Nie zapewne, ale napewno. Dajcie mi tylko kapitalik, a ja wam pokażę, jak się interesa robią.

— Teraz znajdziesz pan sposobność.

— Ma się rozumieć, skład rozszerzę, urzędę dostawę do mieszkań, całkiem na nowy sposób, węgle wprost z kopalni kupować będę.

— Daj Boże, życzę, żeby się to wszystko spełniło.

— Spełni się, spełni, a pan nie przyjmuj żąd-

nych obowiązków, trzymaj się mnie. Będzie dobrze. Jeszcze mam dwa interesa do załatwienia, zanim się do urządzenia nowego składu wezmę.

— Cóż to za interesa?

— Z Hermanem.

— Pogodziliście się.

— Akurat! z takim łotrem się godzić! Powiadam, że są dwa interesa. Pierwszy: muszę dług oddać.

— A drugi?

— Drugi, zbiję go na kwaśne jabłko.

— Po co się narażać, po co robić awantury? nie lepiej żyć spokojnie, cicho.

— Nie, kochany panie, nie lepiej. Jabym spać nie mógł, jabym żyć nie mógł, nie załatwiwszy z nim rachunków. Nie dziś to jutro, ale swoje zrobię.

— Kiedyż ciotka przyjedzie?

— Za tydzień już tu będzie, musi uregulować różne drobne interesa, trochę gratów sprzedać, rzeczy spakować, wysłać na kolej — więc tydzień czasu na to zejdzie.

Mieszkanie dla niej już mam, zapłaciłem za kwartał i kazałem odnowić.

— A gdzie to mieszkanie?

— Na Brackiej, ładne dwa pokoje i kuchnia, na co jej więcej.

— Sama jedna.

— Dajmy na to, że i ze służką. Będzie kontenta, gdyż wybrałem jej locum dobre. Za tydzień, panie Kwiatkowski, inny ruch się zacznie będziemy mieli obydwaj dość roboty... A teraz zajrzyjmy tu naprzeciwno.

— Po co?

— Widzi pan, natura moja jest taka, że gdy zobaczę dobrego przyjaciela, to mi się zaraz gwałtownie pić chce i nie uspokoję się dotąd, dopóki pragnienia nie zaspokoję. Od dziecka mam tę skłonność.

— Wartoby jej się pozbyć.

— Ha, może i warto, ale tymczasem środka na to nie ma, a że nie ma, więc nie bałamucić, tylko iść. Jesteśmy przyjaciele, kuzynowie w złej czy dobrej doli razem. Ja głodny i pan głodny, ja naprzeciwno i pan naprzeciwno. Jak przyjaźń, to przyjaźń, bić to bić, pić to pić, ale zawsze razem, jeden za drugiego, choćby w piekło... alboś przyjaciel, albo wróg. No, chyba wrogiem moim, panie Kwiatkowski, nie jesteś?

— Zkąd panu podobne myśli mogą przychodzić. Ja pańskim wrogiem? przecież nie od dziś stosunki nas łączą.

— A skoro tak, chodźmy naprzeciwno.

— Pan wie, że ja nie pijam.

— Ale co tam: pijam, niepijam, to wszystko jedno, nie trunek stanowi tylko kompanii. No, a przecież ja jestem chyba porządna kompania.

— Któżby śmiał przeczyć.

— Niechby spróbował! Dość tego bałamucenia — chodźmy.

Weszli do knajpki, w której pomimo przedpołudniowej godziny, było już dość duszno i ciasno. Obłok dymu z cygar i papierosów unosił się nad stolikami, dziewczyny biegały między gośćmi, roznosząc jedzenie i piwo.

— Zjedzmy co — zaproponował węglarz.

— Głodny nie jestem — odrzekł Kwiatkowski.

— Zawracanie! Kto to nie jest głodny, a ponieważ pan udajesz zawsze sytego, więc pozwól ja wszystko zarządę, prawdę mówiąc, należy wypić, choćby za zdrowie i pomyślność ciotki, która, no ostatecznie, żeby nie ciotka, nie byłoby nowego składu, ani rozwoju interesów, ani nic. Lizalibyśmy łapy, jak niedźwiedzie, a tak, można powiedzieć, że jesteśmy panowie.

— Dotychczas jeszcze nie.

— Ale napewno, jak dwa razy dwa cztery... No, panie kochany, za pomyślność ciotki. Ja zawsze powiadam, że człowiek z porządnej rodziny nigdy nie zginie, bo chociaż mu się noga poślizgnie, zawsze prędzej, albo później, znajdzie się jaki wuj, stryj, czy ciotka i poratuje w potrzebie, podźwignie. Za pomyślność ciotki, za jej zdrowie!

— Za zdrowie!

— Prawdę powiedziawszy zdrowa ona jest jak krzemień, ale cóż tam, niech będzie jeszcze zdrowsza, życzę jej jak sobie samemu.

Od tego toastu Kwiatkowski uchylić się nie mógł, ale wymawiał się od następnych, z węglarzem jednak trudna była sprawa: dobry ten człowiek miał skłonność do kieliszka, a jak mu trochę zaczmerzało w głowie, to stawał się bardzo upartym i oporu nie znosił. Kwiatkowski udawał, że pije, aby go nie obrazić, jednak prawie wszystko wylewał na podłogę.

— Żebym ja miał to szczęście — powtarzał

węglarz, — żebym choć raz w życiu miał to szczęście...

— Jakie?

— Żeby kochanego pana upoić... słowo daję.

— I cóżby panu z tego przyszło?

— Chciałbym choć raz w życiu widzieć pana wesołym i śmiejącym się.

— Nie mam z czego się cieszyć.

— To prawda, ale niema też racyi chodzić ze spuszczoną głową i truć się zmartwieniem. Zdrowia szkoda... dalibóg.

— Usposobienie takie mam.

— Do licha z taką naturą! Choćbyś pan jeszcze bardziej wzdychał, ani jeden grosz ci nie przybędzie. Ja zupełnie inaczej robię. Dobrze mi, to się śmieję, źle mi, także się śmieję, a jak mi się czasem smutno robi, jak melancholia mnie porwie — to idę tu, albo gdzieindziej, spotkam znajomego, stukniemy się kufelkiem i dobrze. Rób pan tak samo.

— Nie mogę.

— Nie mogę i nie mogę, zawsze jedno w kółko, istna katarynka... co pana u licha tak gniecie?

— Wiesz pan dobrze, bieda.

— A to ją za łeb.

Kwiatkowski westchnął tylko, węglarz się zamyślił, po chwili, nagle stuknął się w czoło.

— Powiedz mi pan — rzekł — tylko szczerze, czy wyście już wszystko przejedli?

— Co do grosza.

— I z czego żyjecie?

— Sprzedaje się po trochu rzeczy, ale i tych już niewiele.

— A do licha, nie szczery z pana człowiek. Nie spodziewałem się tego, nie. Czemuś mi pan nie powiedział?

— Nie byłem pytany, zresztą cóż miałem opowiadać? Każdy ma dość swoich smutków, na co mu cudze.

— Każdy, zapewne, ale przyjaciel... Wielka rzecz było powiedzieć tak i tak, ratuj!

— Nie śmiałem.

— Ciotka za tydzień przyjedzie, składy powiększamy, kasyerem pan będziesz, więc ja daję panu dziś pensję za miesiąc z góry. Tak znów bez grosza nie jestem i szczerze mówiąc, różnicy mi to wielkiej nie robi. Panie Kwiatkowski, cóż u licha! Nie bądź-no taki dziwak. Przyjaciel twój jestem, kuzyn jestem, ciotkę mam, kapitał, tak jak mam, interes powiększam — bierz więc i trzymajmy się zawsze razem. Ja takiego uczciwego i godnego zaufania człowieka, jak pan jesteś — nie znajdę, pan znów z pewnością nie znajdziesz równie szczerego jak ja przyjaciela. Nie ma o czem mówić. Bierz pensję za miesiąc z góry, a jak dobrze pójdzie, to się z gratyfikacji potraci, albo i wcale nie potraci — jak wypadnie...

Kwiatkowski uściśnął serdecznie dłoń tego rubasznego, lecz uczciwego człowieka i pomoc przyjął.

Przyszła ona w porę, bardzo w porę, gdyż bieda coraz większa zaglądała do domu, a prawie

wszystkie rzeczy, przedstawiające jakąś wartość, poszły do ludzi.

W mieszkaniu zostały tylko najniezbędniejsze sprzęty, takie, bez których obejść się nie można.

Węglarz był w doskonałym humorze, gawędził, opowiadał anegdotki, to znowuż rozwijał szerokie projekta rozmaitych przedsięwzięć, jakie prowadzić zamierza.

W rozmowie Kwiatkowski wspomniał, że córka jego ma posadę.

— Panna Marya?... posadę? — zapytał węglarz ze zdziwieniem, — przecież pracowała w magazynie. Cóż to za posada?

Kwiatkowski opowiedział w krótkości jaki obowiązek przyjęła jego córka, węglarz zamyślił się przez chwilę, a potem zapytał:

— Powiedz mi pan jednak, jaką drogą doszłście do tego? Czy z ogłoszeń?

— Nie!

— Więc?

— Przez stosunek...

— Kuzynie, nie szczery jesteś... Ja domyślam się, ale...

— Więc powiem panu, tę posadę nastreczył Herman.

— Herman?!... Ile też kazał sobie za to zapłacić?

— Nic nie żądał, owszem, obiecał jeszcze, że i dla mnie postara się, że już prawie ma.

— A łajdak! — zawołał węglarz uderzając kuflem w stół, — a łajdak, a łotr z pod ciemnej gwiazdy! Słuchaj, Kwiatkowski, przyjacielu, ku-

zynie! Dotychczas przyrzekałem sobie, że tego lisa zbiję na kwaśne jabłko, obecnie przysięgam, że to zrobię. Słyszysz? Ja na to przysięgam!

— Ależ panie Franciszku... za co? Cóż on złego zrobił?

— Poczciwy człowiek jesteś! zdaje ci się, że wszyscy są prawi i chodzą prostemi drogami. Pan to przysługą nazywasz, a ja, ja czuję w tem jakieś łajdactwo... i to na gruby kamień. On by zrobił co bezinteresownie? On by uczynił komu dobrze, ten łotr z pod ciemnej gwiazdy, ten lichwiarz, ten faktor! A chybaby prędzej słońce zmieniło swój obyczaj i wschodziło o zachodzie, a zachodziło o wschodzie, prędzejby Wisła, zamiast do Gdańska, popłynęła pod Kraków, aniżeli on zrobiłby komuś bezinteresowną przysługę.

— Przerażasz mnie, panie Franciszku...

— Prawdę tylko mówię i — słuchaj. Dziś to dopiero domysł, przeczucie, ale jutro, wszystko rzucę, wszystko opuszczę, cały dzień na to stracę, żeby wybadać jaki on miał w tem interes. Bo — że sprawka nieczysta w tem jest — głowę daję w zakład. Chciał nadużyć twojej dobroduszości, panie Kwiatkowski, chciał zastawić łotrowskie sidła na twoje ukochane dziecko, ale, na szczęście wasze, ja jestem i ja nie śpię. Nie uda mu się sztuka! Przygotuj się pan na to, żeby jutro, pojutrze córkę z tej świetnej posady odebrać. Nie martw się, nie zginiecie. U mnie robota dla pana będzie i dobra. Ciotka przyjeżdża, ruch się zacznie, a Hermana to już ja sam

spłace. Pan, jeżeli go kiedy spotkasz, udaj, że go nie widzisz i nie znasz, albo, co lepiej, odrazu pluń mu w oczy.

— Ale...

— Nie ma ale, kochany panie, jesteś jak małe dziecko, głos twój w tym razie nic nie znaczy. Słuchaj, co ci każe; rób co mówię i wierz, że tak będzie dobrze. No, mój drogi, mój kochany, jeszcze kufelek, a może kieliszek wina?

— Dziękuję.

— Nie dziękuj, tylko pij. Ach, już późna godzina, ten łotr śpi. Co ja dałbym za to, żebym go teraz pod ręką miał! Grubo zapłaciłbym za tę przyjemność. A wiesz kuzynie, co ja zrobiłbym z niego?

— Lepiej dać mu pokój...

— O za nic! przysiągłem — to święte. Zrobię z niego bigos, siekane zrazy, kotlety, zmiążdżę, potłukę, tak, że mnie do śmierci nie zapomni.

XII.

Na trzeci dzień potem rano, węglarz doskonale już poinformowany o wszystkim, wyprawił Kwiatkowskiego do starej arystokratki.

Widocznie argumenta jego były przekonywające, gdyż ojciec Mani nie oponował, nie zwłóczył, tylko poszedł do domu, by przywdziać lepsze ubranie i natychmiast udał się pod wskazany adres.

Chora pani siedziała w fotelu, Mania obok na krzeselku czytała głośno, gdy lokaj zaanonsował, że przyszedł jakiś pan Kwiatkowski i że prosi, aby go pani przyjęła.

— Kwiatkowski—rzekła dama,—nie znam takiego pana. Czego chce? Może wsparcia... powiedzieć, że nie przyjmuję... albo...

— Proszę pani — rzekła nieśmiało Mania — to zapewne mój ojciec.

— Jezus Marya! panny ojciec! Czy zechcesz sprowadzić mi tu całą swoją rodzinę!?

— Proszę pani...

— Proszę pani... Ja tylko panią godziłam, ale

niech pan Kwiatkowski przyjdzie. Ciekawam czego pan Kwiatkowski żąda... Chwili spokojnej nie dadzą. Dla panny Kwiatkowskiej to robię... prosić pana Kwiatkowskiego...

Ojciec Mani wszedł do salonu, ukłonił się bez uniżoności i rzekł:

— Wybaczysz szanowna pani, że ją niepokoję.

— Mnie wszyscy niepokoją!.. Jestem chora, znużona, ludzi dobrać sobie nie mogę... ale mniej-sza o to. Co pana tu sprowadza?

— Córka — rzekł, wskazując na Manię, która właśnie ujmowała go za rękę, by złożyć na niej pocałunek.

— Więc panna Marya to córka pańska?

— Tak jest, proszę pani.

— O cóż idzie?

— Chciałem prosić panią o uwolnienie jej od obowiązków.

— Jezus Marya! a cóż to znowu, dopiero przyszła, już odchodzi! Cóż to się panu zdaje, że obowiązek to suknia lub rękawiczka, którą można zmieniać stosownie do upodobania? Ja nie pozwalam. Córka pańska zachowuje się dobrze, dogadza mi, jest dość pilna, troskliwa i nie chcę się z nią rozłączać, słyszy pan?

— Słyszę, szanowna pani, ale ponawiam żądanie.

— Proszę! Cóż za powód, jeżeli można wiedzieć? Czy wolno pozbawiać opieki kobietę starą, chorą, samotną? Czy godzi się to z pojęciem zasad chrześcijańskich? przypuszczam że je pan uznajesz?

— Uznaję i wyznaję, pani dobrodziejko, ale córkę odebrać muszę, ponieważ rodzona jej matka potrzebuje także dozoru i opieki...

— Mama chora?! mamie gorzej? — zawołała przerażona dziewczyna.

— Tak Maniu, trzeba abyś była przy matce, a mam nadzieję że pani dobrodziejka powód jaki podaję uwzględni, choćby w myśl tych zasad o jakich pani wspomniała przed chwilą.

Chora dama niecierpliwie poruszyła się na krześle.

— Trudno — odrzekła, takie dziś czasy, że przymuszać nikogo nie można, jeżeli więc stanowczo żąda pan, żeby córka wróciła do domu, to niechże wraca.

— Dziękuję pani dobrodziejce — rzekł Kwiatkowski z ukłonem, a zwracając się do córki dodał:

— Wybieraj się Maniu, pójdziemy...

— O, za pozwoleniem... zostanie pani przynajmniej do wieczora. Dajcież mi państwo czas, abym posłała do kantoru... może mi tam znajdą osobę nie mającą chorej matki... i traktującą poważniej swoje zobowiązania.

— Dobrze pani, wieczorem przyjdę po córkę... Moje uszanowanie.

— Żegnam.

Mania odprowadziła ojca do przedpokoju, aby wypytać go o stan matki.

— Nie martw się, — szepnął, — matka nie jest chora, tylko trzeba mi pozoru, żeby cię ztąd odebrać.

— Więc wróć do pani Zofii?

— Wrócisz, moje dziecko: wszędzie będzie ci lepiej, aniżeli tutaj...

.....
Wieczorem Mania opuściła stanowisko lektorki, a przywitawszy matkę, Edzia i młodsze rodzeństwo pobiegła natychmiast do pracowni.

Pani Zofia i Wanda powitały ją radosnym okrzykiem i serdecznymi uściskami. Wypytywaniom nie było końca.

Wanda dziwiła się, że ojciec, który przed niedawnym czasem żądał, aby Mania ten obowiązek przyjęła, obecnie sam ją zamtąd odebrał. Mania nie umiała na to odpowiedzieć. Pani Zofia przerwała ten dyskurs.

— Moje kochane — rzekła — nie macie nad czem rozmyślać... Widać ojcu Mani polepszyło się trochę pod względem materyalnym.

— Tak, proszę pani — rzekła Mania — ojciec wraca do swojej dawniejszej posady przy węglach.

Tego wieczoru jeszcze przyszedł pan Zygmunt. Obecność Mani w pracowni była dla niego niespodzianką. Nie potrafił ukryć swej radości, a kiedy koło dziesiątej odprowadzał Manię do domu, zdobył się na odwagę i wyznał jej swoje uczucia, oraz prosił o pozwolenie, aby nazajutrz mógł przyjść i oświadczyć się o jej rękę rodzicom.

Stało się tak szybko, tak nagle, że Mania, aczkolwiek spodziewała się, że może kiedyś do tego wyznania przyjdzie, na razie nie mogła się zdobyć na odpowiedź. Dopiero na nalegania spełnęła: «tak» i zapłoniona pobiegła na górę do matki.

Tego wieczoru bardzo długo paliło się światło w oficynie, Mania bowiem opowiedziała o swoim szczęściu rodzicom, długo również nie gasło światło w pracowni pod firmą: «Sophie», albowiem pan Zygmunt wrócił tam jeszcze, aby zakomunikować pani Zofii i Wandzie, że nareszcie zdobył się na krok stanowczy.

Wanda ucieszyła się niezmiernie ze szczęścia swojej przyjaciółki i natychmiast zaczęła w myśli budować białą suknię ślubną dla panny młodej, kremową dla siebie i jasno-popielatą materyalną dla matki.

Ciotka węglarza przyjechała i przyobiecany kapitał przywiozła. Założono duży skład, którym zarządza Kwiatkowski, sam węglarz bowiem rzadko tam bywa, tak jest ciągle zajęty. Spekuluje, puszcza się na drobniejsze dostawy i wiedzie mu się jakoś, zarabia.

U Kwiatkowskich w domu trochę lepiej; po dawnemu trzeba żyć bardzo skromnie i oszczędzać, ale już handlarze podwórkowi nie bywają wzywani na górę, już niema tak dotkliwego braku jak niegdyś. Edzio uczy się dobrze; młodsze dzieci podrastają zdrowo.

Ślub Zygmunta i Mani odbył się w lipcu, wesele było ciche, bez tańców, w szczupłym kółku znajomych. Znajdowała się na nim pani Zofia z mężem, Wanda, Wicusz i kilku kolegów biurowych Zygmunta.

Brakowało tylko węglarza. Ten na tydzień przed weselem nadesłał list z usprawiedliwieniem się, że na uroczystości być nie może, gdyż w niez-

miernie ważnym interesie musi wyjechać na czas dłuższy za granicę. Tymczasem zasyła życzenia szczęścia młodej parze, a po powrocie przyjdzie powinszować osobiście.

Jeden Kwiatkowski wiedział naprawdę, gdzie się jego przyjaciel znajdował. Odsiadywał nieborak kilkotygodniową karę za swój temperament krewki, za czynne znieważenie Hermana...

Ów jegomość po tem zejściu wyprowadził się na Pragę, tam zamieszkał i prowadzi drobne operacye finansowe z sklepikarzami i przekupniami, pieniędzy im pożycza.

W Warszawie pokazuje się rzadko i to tylko w tych częściach miasta, gdzie go nie znają.

K O N I E C .



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

1/w

F
1300